



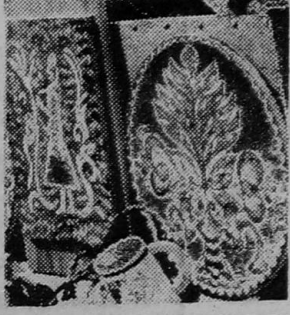
5
znowu
w szkole



8
byle dobrze
biurka
strzec



9
sztandar
przyplynał
z wielką
wodą



11
sliczności

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

10

KONTAKTY
31.VIII.80
Cena 4 zł



Fot. Gabor Lörinezy

Nauczycielom pełnego kontaktu z młodzieżą, uczniom udanych zbliżeń do wiedzy — życzy z okazji Nowego Roku Szkolnego 1980-1981

Redakcja

MARTA
WESOŁOWSKA

palenie jętek

Jest ciemny, pusty korytarz starej szkoły, za oknami czerwcową noc i wiatr. W głębi stoją oni; trzymają się za ręce, patrzą sobie w oczy; cisza i szept: „Kochana moja...” On ogarnia ją ramieniem, powoli wychodzą z cienia, ze ściany naprzeciw patrzy na nich Tadeusz Kościuszko, patron liceum, „Ostatni rycerz, pierwszy obywatel”. Ale oni, spłonieni, o nieśmieleni, nie widzą nic, nie słyszą nic. „Pamiętasz?” — szepczą.

Pamiętają oboje. Tamtego dnia — to była środa — wyszli razem ze szkoły, on niósł obie teczki, gonili się; tymi teczkami tak jakoś okropnie niezręcznie przytulił ją, zawiązał wokół telegraficznego słupa, i nagle zobaczył jej błyszczące oczy naprzeciwko swoich. Zupełnie niespodziewanie pocałowali się w same usta.

Czterdzieści jeden lat temu. Potem była wojna, partyzantka, żony, mężowie, dzieci, nowe miłości, rozwoły, urlopy, awanse, choroby, wnuki, emerytury. Życie.

Ta siwa pani w długiej, kolorowej sukni, która wchodzi właśnie na schody, podtrzymywana przez zgarbionego pana, nie pamięta teraz życia dzisiejszego. Ma w oczach, od młodości o dwa pokolenia, szaleństwo tamtego popołudnia, w nozdrzach zapach jaśminu; słodki, duszny.

Ich ręce znowu splecione, jak na scenie, jak w teatrze, zaraz się rozplotą. Zaraz wrócą do auli, gdzie trwa Wielki Raut Absolwentów, zaraz... Ale oto okno na półpiętrze otwiera się bezszelestnie i wyfruwają, na białej smudze światła, młodzi, piękni kochankowie znad Narwi.

— Nie będę! — podnosi głos pani Lucyna, kierownik działu imprez i informacji. — Nie zapowiem! Jestem zmęczona, mam tego dość, od rana biegam. Nie!

— To występu nie będzie, odwołuj sobie teraz! — pan Sławek, kierownik zespołu i kapeli muzycznej, po prostu nie może znieść tej baby. Co jej odbiło?

— Weź rezolutną dziewczynę z zespołu i niech ona to zapowie — mówi Lucyna tonem błagalnym, rozkazuującym. Następny wybuch wali się

CIĄG DALSZY NA STR. 6 I 7

Publikujemy pełny tekst przemówienia I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka wygłoszonego na zakończenie obrad IV Plenum Komitetu Centralnego.

SZANOWNI TOWARZYSZE!

Treść i postanowienia obrad Komitetu Centralnego naszej partii odpowiadają powadze chwili, poczuciu najgłębszej odpowiedzialności za los Polski.

W moim zagajeniu omówiłem, aczkolwiek w sposób konieczności niepełny, ale krytyczny i samokrytyczny węzłowe problemy wynikające z sytuacji kraju. Dyskusja potwierdziła te oceny i wnioski.

W dyskusji padły słowa ostre i bolesne ale sprawiedliwe, prawdy trudne dotyczące naszych własnych błędów, niekonsekwencji i opóźnień, wahań i słabości. Postanowiliśmy w bliskiej przyszłości zwołać V Plenum i poddać te sprawy gruntownej, głębszej analizie, by dojść do wszystkich bez wyjątku źródeł poważnego kryzysu politycznego i gospodarczego, który dziś przeżywa nasz kraj.

Ze szczególnym wzruszeniem słuchałem wystąpienia towarzyszy z Wrocławia, z Gdańska i Gdyni, Szczecina i Elbląga. Technie z nich złożona prawda, która do mnie, wieloletniego działacza robotniczego, przemawia ze szczególną siłą. Musimy z tego dramatycznego konfliktu znaleźć wyjście. W drodze porozumienia z klasą robotniczą, z ludźmi pracy. Sądzę, że dzisiejsze nasze postanowienia i decyzje będą temu sprzyjały.

Nie ma pilniejszej sprawy i ważniejszego obowiązku jak wyprowadzić kraj z trudnego położenia, przywrócić normalny rytm pracy i życia społecznego. Stwierdziłbym, zgodnie, że podstawowym warunkiem osiągnięcia tego celu jest usunięcie przyczyn niezadowolenia społecznego, przywrócenie klimatu wzajemnego zaufania, który towarzyszył w latach pogrudniowych naszej działalności.

Dokonyujemy zasadniczego zwrotu w polityce partii i państwa, dostosowujemy ją do realiów dnia dzisiejszego.

Pragnę powiedzieć raz jeszcze, że już na VIII Zjeździe widzieliśmy konieczność modyfikacji naszej polityki. Zakładaliśmy, że w ciągu najbliższych lat przywrócimy równowagę gospodarczą i zwiększymy efektywność naszej gospodarki. Okazało się jednak, że program realizacji tych celów przedstawionych przez rząd nie zyskał społecznego poparcia.

W tej sytuacji musieliśmy na bieżąco, biorąc pod uwagę postulaty załóg, borykając ten program. Pro-

Sprawy najważniejsze dla wszystkich Polaków

pozycje, które przedstawiłem w przemówieniu telewizyjnym przed tygodniem siłą rzeczy nie miały charakteru kompleksowego. Dziś także, jeśli mamy poważnie traktować społeczeństwo, jeszcze na to za wcześnie. Chodzi bowiem o daleko idące zmiany w gospodarce, zmiany które trzeba starannie przygotować i przemyśleć.

Podjęte już zobowiązania dotyczące warunków życia i pracy załóg muszą zostać wykonane choć nie będzie to łatwe. Wymagać to będzie przebudowy planów gospodarczych na najbliższy okres. Pojdziemy dalej w ograniczeniu inwestycji i zmienimy strukturę produkcji pod kątem zaspokojenia pilnych potrzeb społecznych. Współ z Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym podejmujemy kroki w celu pobudzenia i zwiększenia produkcji rolniej.

Pełny i szczegółowy program obejmujący również istotne reformy systemu zarządzania gospodarką narodową opracuje i przedstawi rząd. Projekt takiego programu uwzględniący opinie i odczucia społeczne po uzyskaniu aprobaty Komitetu Centralnego wejdzie tego roku.

Wśród postulatów wysuwanych przez załogi ważne miejsce zajmuje sprawa związków zawodowych. Dyskusja upoważnia mnie do stwierdzenia, że Komitet Centralny podziela stanowisko Biura Politycznego w tej sprawie. Uważamy, że Centralna Rada Związków Zawodowych powinna rozważyć niezwłocznie przeprowadzenie wyborów nowych władz związkowych we wszystkich tych zakładach, gdzie załogi będą sobie tego życzyły. Wybory te powinny być w pełni demokratyczne, tajne i przy nieograniczonej liczbie kandydatów. Nie ulega wątpliwości, że jeśli autorzy ostatnio wyłonionych samorządów w niektórych zakładach pracy przedstawicielstw okazać się trwały i ugruntowany — ich członkowie znają się na pewno w nowo wybranych władzach związkowych. Zbliżający się Kongres Związków Zawodowych winien stać się reprezentatywnym forum polskiego świata pracy. Powinien on podjąć decyzje odnośnie roli, miejsca i form działania związków zawodowych, dla których autentyczna obrona interesów pracowników musi zawsze być funkcją nadrzędną. Jeszcze w tym roku należy poddać pod

dyskusję ogólnospołeczną i przedstawić Sejmowi projekt nowej ustawy o związkach zawodowych.

Dyskusja potwierdziła krytyczne opinie formułowane na zebraniach partyjnych i zakładowych dotyczące wielu niedostatków w metodach i formach naszej pracy. Będziemy je zdecydowanie usuwać.

TOWARZYSZE!

Komitet Centralny dokonał głębokich zmian personalnych w składzie kierowniczych organów partii oraz zdecydował przedstawić do decyzji Rady Państwa i Sejmu propozycje również głębokich zmian w Prezydium Rady Ministrów. Zmiany te dotyczą przede wszystkim kierownictwa gospodarczego kraju a także innych ważnych dziedzin pracy partii i państwa.

Powołaliśmy na odpowiedzialne funkcje również tych towarzyszy, którzy dostrzegali wcześniej narastające nieprawidłowości i usiłowali im przeciwdziałać, a których głosu nie usłuchaliśmy.

Działaniem naszym towarzyszy musi klimat odnowy moralnej, klimat wysokich wymagań stawianych wszystkim — od góry do dołu, atmosfera rzetelności, uczciwości. Partia nasza wychodząc przeciw odczuciom i pragnieniom klasy robotniczej i całego narodu, odrzuca to co hamuje rozwój, i staje się źródłem napięcia. Liczymy na pełne poparcie społeczeństwa.

DRODZY TOWARZYSZE!

Zwracamy się w imieniu Komitetu Centralnego do członków i aktywistów naszej partii. Zwracamy się do szeregów. Idźmy śmiało do mas, do ludzi pracy. Z uwagą słuchajmy ich opinii, wyciągajmy z niej wnioski.

Dokonyjemy poważnych zmian w naszej polityce w złożonych warunkach. Musimy działać stanowczo, ale rozumnie. Wychodząc na spotkanie krytyce społecznej i cierpliwie wyjaśniamy nieporozumienia, odpieramy ataki na podstawowe założenia naszego ustroju, na naszą partię.

Powtórzę raz jeszcze: tylko socjalistyczna Polska może być państwem niepodległym o trwałych granicach i autorytetem międzynarodowym. Tylko socjalizm zabezpiecza dziś skutecznie nasze państwo i narodowe interesy. Tych naderzędnych wartości będziemy zdecydowanie bronić i strzec.

Zwracam się z tego miejsca do

wszystkich mieszkańców naszego kraju!

OBYWATELE!

Partia nasza chce uczciwie skorygować swoją politykę, licząc na krytykę i postulaty załóg robotniczych i całego społeczeństwa. Chcemy rzeczywistego poszerzenia udziału obywateli w podejmowaniu o sprawach zakładów pracy, miast i wsi, całego kraju. Podjęliśmy już konkretne kroki w tym kierunku. Gotowi jesteśmy nadal rozmawiać w tych sprawach ze społeczeństwem, również z przedstawicielami robotniczymi, wyłonionymi w czasie strajków. Gotowi jesteśmy wychodzić naprzeciw zgłoszonym wnioskowi i postulatowi. Ale nie możemy składać obietnic bez pokrycia. Nie możemy też godzić się na postulaty godzące w podstawy bytnarodu i państwa.

W ośrodkach przemysłowych Wrobrzeza od szeregu dni toczą się rozmowy między komisjami rządowymi a przedstawicielstwami strajkujących załóg. Dotyczą one wielu spraw, w tym również złożonych trudnych do szybkiego wyjaśnienia i rozwiązania. Przedłużanie przerwy w pracy powiększa z każdym dniem straty materialne i zaostrza niebezpieczeństwo polityczne.

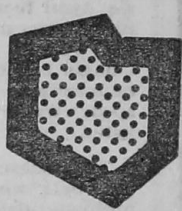
Z uznaniem i wdzięcznością myślimy o tych załogach robotniczych i środowiskach, które odczuwają poważne nieraz bóle i potrzeby głębokiej krytyki podejmowały dyskusję, wysuwały postulaty a nawet żądania bez przerywania pracy.

Doceniajmy też, że strajkujące załogi potrafiły zapamiętać w swych zakładach ład i porządek, i nie dopuścić do poważniejszych zakłóceń, do niszczenia mienia społecznego.

Współuczestnictwo i demokracja wiążą się z odpowiedzialnością. Długość o sprawy najważniejsze dla wszystkich Polaków. Musimy wspólnie wyprzyszość nasz kraj z obecnego kryzysu. Możemy wiele naprawić i wiele zmienić, rozwiązać stopniowo problemy gospodarcze, rozwiązać demokrację, pogłębić atmosferę wzajemnego poszanowania i współdziałania. Mimo braków i błędów, na które złożyło się wiele przyczyn, naród nasz ma wielki dorobek we wszystkich sferach życia. Musimy go powiększać i chronić. Podzielam opinie wyrażone w różnych kręgach społeczeństwa, że nikomu nie wolno stawiać na jej na kartę losu kraju ani zaprzęścić nadziei na lepszą przyszłość.

My, Polacy, nieraz dawaliśmy dowody dojrzałości politycznej. Dziś istnieją wielka też dojrzałość potrzeba.

(PAP)



W WARSZAWIE OBRADOWAŁO IV plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR, poświęcone ocenie sytuacji społeczno-politycznej kraju oraz określeniu głównych zadań partii.

Komitet Centralny odwołał ze składu Biura Politycznego EDWARDA BABIUCHA, JERZEGO ŁUKASZEWICZA, JANA SZYDLAKA, TADEUSZA WRZASZCZYKA, a ze składu zastępców członków Biura Politycznego — TADEUSZA PYKE i ZDZISŁAWA ZANDAROWSKIEGO. Plenum odwołało JERZEGO ŁUKASZEWICZA, JÓZEFA PINKOWSKIEGO i ZDZISŁAWA ZANDAROWSKIEGO ze składu Sekretariatu KC PZPR. Na członków Biura Politycznego powołano STEFANA OLSZOWSKIEGO i JÓZEFA PINKOWSKIEGO, a na zastępców członków Biura Politycznego JERZEGO WASZCZUKA i ANDRZE-

JA ŻABIŃSKIEGO. Plenum powołało na funkcję sekretarza KC — STEFANA OLSZOWSKIEGO i EMILIA WOJTASZKA. Komitet Centralny dokoptował do składu członków KC TADEUSZA GRABSKIEGO. W związku z rezygnacją Edwarda Babiucha z funkcji prezesa Rady Ministrów KC postanowił rekomendować na to stanowisko JÓZEFA PINKOWSKIEGO. Na zakończenie obrad przemówienie wygłosił I sekretarz KC PZPR Edward Gierka (tekst przemówienia — powyżej).

RADA PAŃSTWA na prośbę EDWARDA BABIUCHA zwołała go ze stanowiska prezesa Rady Ministrów. Równocześnie Rada Państwa powołała na stanowisko JÓZEFA PINKOWSKIEGO i powierzyła mu pełnienie funkcji prezesa Rady Ministrów — do czasu podjęcia decyzji przez Sejm PRL. Ponadto Rada Państwa dokonała zmian w składzie Rady Ministrów: odwołała ze stanowiska wiceprezesa Rady Ministrów, TADEUSZA PYKE i TADEUSZA WRZASZCZYKA, powołała na stanowisko wiceprezesa Rady Ministrów TADEUSZA GRABSKIEGO, na stanowisko wiceprezesa Rady Ministrów i przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów HENRYKA KISIELA odwołując go równocze-

śnie ze stanowiska Ministra Finansów, na stanowisko wiceprezesa Rady Ministrów ALEKSANDRA KOPCIA odwołując go równocześnie ze stanowiska ministra Przemysłu Maszynowego, odwołała ze stanowiska ministra Spraw Zagranicznych EMILIA WOJTASZKA, i odwołała ze stanowiska ministra — członka Rady Ministrów EUGENIUSZA GROCHALĄ, powołała na stanowisko ministra Spraw Zagranicznych JÓZEFA CZYRKĄ, na stanowisko ministra Finansów MARIANNA KRZAKA, na stanowisko ministra Przemysłu Maszynowego HENRYKA GAWRYSIAKA oraz na stanowisko ministra — członka Rady Ministrów JERZEGO GAWRYSIAKA.

PREZES RADY MINISTRÓW odwołał MACIEJA SZCZEPANICKIEGO ze stanowiska przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji, EUGENIUSZA GROCHALĄ ze stanowiska przewodniczącego Państwowej Komisji Cen, STANISŁAWA KUZIŃSKIEGO ze stanowiska prezesa Głównego Urzędu Statystycznego. Równocześnie prezes Rady Ministrów powołał JÓZEFA BARECKIEGO na stanowisko przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji, JERZEGO GAWRYSIAKA na stanowisko przewodniczącego Państwowej Komisji

Cen, WIESŁAWA SADOWSKIEGO na stanowisko prezesa Głównego Urzędu Statystycznego.

POSTULATY ZAŁÓG ROBOTNICZYCH oraz propozycje województwa gdańskiego rozpatrywane były przez komisję rządową pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego. W Szczecinie prace prowadziła komisja rządowa z wicepremierem Kazimierzem Balcikiem na czele.

PODCZAS OBRAD Prezydium CRZYS krytycznie oceniło dotychczasową działalność związków zawodowych. Prezydium rozpatrzyło projekt powołania związków zawodowych. Prezydium rozpatrzyło projekt powołania związków zawodowych. Prezydium rozpatrzyło projekt powołania związków zawodowych.

POLSKA AGENCJA PRASOWA informowała o stratach gospodarki w wyniku strajku załóg Trójmiasta i Szczecina. Dzienna wartość produkcji przemysłowej szacowana wynosi około 266 milionów złotych, jeden dzień przestoju polskiej stali kosztuje od 50 do 100 tysięcy złotych (w portach Gdańska i Gdyni stało ponad 70 statków).

ZMARŁ Zenon Nowak (lat 75) — zasłużony działacz partyjny i państwowy.

zrealizować zakładkę, wzrost poziomu zaspokojenia potrzeb społecznych (do pełnego wykonania zadań zabraknie ponad 150 placówek). Ponieważ wartość usług przypadających na jednego mieszkańca Łódzkiego jest niższa niż w terenie całego kraju przewiduje się, że do roku 1985 będą one warte stały szybkości niż przeciętna krajowa.

zdarzenia



PRZEMYSŁ DROBNY zajmuje ważne miejsce w społeczno-gospodarczym rozwoju regionu łódzkiego; wytwarza on 30 proc. całej produkcji przemysłowej i aż 50 proc. produkcji rynkowej województwa. Przy ograniczonych możliwościach inwestycyjnych przemysł drobny — jak podkreślono podczas obrad Egzekutywy KW PZPR i Prezydium WK SD — ma

szczególnie ważną rolę w dynamizowaniu produkcji przemysłowej województwa oraz aktywizacji społeczno-gospodarczej miast i wsi.

W usprawnianiu życia mieszkańców dużą rolę ma rozwój usług i rzemiosła. Mimo iż w tej dziedzinie osiągnięto w latach 1976—1980 poprawę (przebiegało 347 zakładów usługowych i 171 placówek rzemieślniczych), to jednak nie udało się

kontakty
kontaktów

"Z najgłębszą życzliwością i sympatią oczekiwałem na pierwszy numer 'Kontaktów'. I pragnę wyrazić Państwu w ten sposób wyrazy mego, ludzkiego, z głębi serca płynącego uznania za to, że na Ziemi Łomżyńskiej to czasopismo, dzięki Państwu, stało się rzeczywistością. Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że życie współczesnego człowieka uwarunkowane jest najróżniejszymi normami, nakazami i zakazami, znajomość których w szerszym kontekście jest niezbędna. Chciałbym w związku z tym zaproponować wprowadzenie do 'Kontaktów' stałej rubryki dotyczącej kwestii prawnych."

KAZIMIERZ KONOPKA
Białystok

*

Odwiedzili nas: Ernest Bryll, którego niezmiennie interesujący artykuł o związkach kultury współczesnej ze staropolszczyzną opublikujemy w jednym z najbliższych numerów; Tomasz Kurkiewicz, Edward Tomaniak, Sławomir Strzeżniewicz — kierownicy z browaru w Sierpcu, którzy w Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego w Łomży od godziny 12.00 do 20.30 nie mogli doczekać się rozładunku słoju, co umożliwiłoby z kolei załadunek kapsli do butelek, bez których ich browarowi groził przestój; Antoni Opechowski (z woj. ostrołęckiego) działacz partyjny, były członek komitetu okręgowego KPP w Łomży; Włodzimierz Pajdziński, sekretarz redakcji „Trybuny Ludu”, dzieląc się z nami refleksjami z lektury tygodnika „Kontakty”.

*

„Czytałem i czytam dalej od deski do deski 'Kontakty' i stwierdzam, że są ciekawe, wiele wniesiłyście nowego do tygodnika. Mam nie tylko nadzieję, ale jestem przekonany, że tygodnik zdobędzie wśród Czytelników poczytność i do pomoże naszej partii i władzom administracyjnym w rozwoju gospodarczym województwa łomżyńskiego."

Gratuluje naprawdę dobrego tygodnika i życzę dużych nakładów."

MICHAŁ BOROWIK
Białystok

*

„Muszę stwierdzić, że nasz tygodnik coraz bardziej mi się podoba. Pierwszy numer raczej nie był zbyt interesujący zredagowany, być może przez to, że nie jest podobny do tysięcy innych. Nadal mi się nie podoba w nim druga strona. Moim zdaniem wydarzenia powinny być opisywane nieco szczegółowiej. Poza tym jeszcze nieco są za długie niektóre artykuły. Piszę to, chociaż mnie większość z nich interesuje. Poza tym także brak jest w tygodniku streszczenia wydarzeń sportowych, krajowych i zagranicznych."

SŁAWOMIR KOZŁOWSKI
Zawady

*

„Czytanie Waszego Tygodnika rozpoczynam od rozmowy czterech diabłów. W jednej z takich rozpraw zauważyłem, że diabły zamierzają zredukować etaty. Nie znam bliżej zasług w działaniu dających się sprawdzić diabłów: Narwiańskiego, Biebrzańskiego i Supraskiego. Znam natomiast zasługi Bużańskiego i to zarówno te, które ujawnił on już w dyskusjach diabelskich, jak i te, które trzyma jeszcze w zanadrzu. Dlatego też uważam, że wszystkie chyba etaty w diabelskiej instytucji są społecznie potrzebne."

A oto co uszło uwadze lub co trzymano jeszcze w zanadrzu diabeł Bużański z zakresu swojej działalności na ciecchanowieckich moczarach."

1. Czyn w Ciecchanowie towarzysztwa pod krawatami i medalami miały inne zakończenie. Pani z filmu o świadczyła, że wszystkim uczestnikom należy się zapłata jako staty-

Traf czy przypadek — gdy odwiedziłem mieszkanie państwa Sulewskich w Rudzie, kończyli właśnie lekturę tygodnika „Kontakty”.



Budynek szkoły stoi w jaśminowym gaju. Był remont, wewnątrz pachnie farbą; za kilka dni rozpocznie się rok szkolny.

— Dzisiaj jest trochę bałaganu — mówi dyrektor Lucjan Sulewski. — Niedługo znikną cegły sprzed budynku. W jednej z klas pracują jeszcze malarze.

— Chociaż sprzątaczką już była, to po rozpoczęciu roku urządzimy porządek sprzątanie — dodaje żona, nauczycielka wychowania fizycznego. — Nie będę opowiadała dzieciom bajek: szanuj zieleni, nie rzucaj papierków. Każda klasa pomoże uporządkować wszystko na polsku. Podobnie było z boiskiem szkolnym; uczniowie sami mieszały cement, pomagali wylewać, wyrównywać. Dzisiaj, chociaż dawno już skończyli szkołę i pracują, przychodzą na boisko grać w piłkę. Czasem inspektor przyjdzie, dziwi się, dlaczego nie jest zdjęta siatka. Ale po co zdejmować, chłopcy są przecież

się Lucjan Sulewski. — My jakoś sobie radzimy. Dowozimy uczniów z Kacprowa i Sojczyna-Borzymów dwiema przyczepami. Traktorzyści wyjeżdżają punktualnie o siódmej po dzieci, a o pół do drugiej odwożą. Spóźniają się wyjątkowo, i to tylko wtedy, gdy są pilne prace w polu. Wówczas kierownik uprzedza o spóźnieniu. Traktorzyści nigdy nas nie zawiedli, może dlatego, że to także nasi uczniowie. Zimą przyjeżdżają czasem i w dwa traktory do jednej przyczepy, aby tylko dowieźć dzieci.

Maria jest zdegustowana solidnością ojca. — Zamiast „odpuścić” dzieciom, pozwolić na odpoczynek, to przywozicie je do szkoły.

— Na pewno dojazdy bardzo dzieci męczą, ale to, że uczą się w dużym zespole, jest największym plusem reformy. Nauczyciel w małej szkole, gdzie w jednej sali uczą się kilkoro dzieci z różnych klas, wychodził z lekcji niezadowolony.

— Mnie warunki pracy denerwują — mówi córka. — W moim przedszkolu jedna wychowawczyni opiekuje się pięćdziesięciorgiem dzieci. Jak przy takiej ilości można właściwie wychowywać? W tamtym roku przeprowadzono remont łazienek; przez miesiąc dla kilkudziesięciu dzieci mieliśmy tylko jedną ubikację. Prócz tego na praktyce było czterdzieści studentek. Można sobie wyobrazić, co tam się działo! Przecież remonty można by przeprowadzić szybciej albo w innym czasie.

— My nie czekalibyśmy na fachowców. Na przykład mąż wziął kilku chłopców ze starszych klas i na zajęciach praktycznych ogroził teren szkolny.

— Uczę historii i geografii, ale zdarza mi się prowadzić prace ręczne — mówi dyrektor. — Nie chcę tych zajęć przyjmować, bo zawsze znajdzie się coś do zrobienia w szkole, ale program przecież obowiązuje. Czasem zastanawiam

gra
w ciuciubabkę

u siebie, przychodzą codziennie. Jak szybko wybili, sami powiedzieli: „Pani Sulewska, okno wybił!”.

„Tylko jedno?” — spytałam. Sami zanieśli do szklarni, nawet nie wiedziałam kiedy. Przyjeżdżają na ferie, w wakacje przychodzą do nas, do szkoły; może dlatego, że pamiętają, w jak trudnych warunkach musieli się uczyć. Przecież ja właściwie nie mam gdzie urządzić zajęć. Nie ma sali gimnastycznej. A z kilkunastoletnimi chłopcami nie będę się bawiła w ciuciubabkę. Oni muszą mieć dużo ruchu. Najgorzej jest jesień, kiedy ciśniemy się na korytarzu. Gdy chwyci mróz, robimy lodowisko. W tamtym roku nigdzie nie było lodowiska, tylko u nas.

— Wam to dobrze — zazdrości córka, wychowawczyni w jednym z łomżyńskich przedszkoli — możecie z uczniami coś zrobić, a my musimy czekać po kilka miesięcy na najdrobniejszą nawet naprawę.

— Inne szkoły mają kłopoty z dowozem dzieci do szkoły — włącza

Czuł, że nie spełnił swego zadania — mówi Zofia Sulewska.

— Denerwuje mnie to — wyjaśnia dyrektor — że jesteśmy pozostawieni sami sobie. Zimą nikt nie zainteresuje się, czy drogę mamy odśnieżoną. Przecież plugi jeżdżą po okolicznych szosach. Gdyby nie my, to mleczarnia i GS niczego by do Sojczyna nie dowiozły. Wiedzą, że wozimy dzieci, więc droga jest przejezdna. Do nas czy do szkoły zawsze są otwarte drzwi. Jeśli jest jakiś kurs, to także w szkole.

— Na uroczystości, które urządzamy, przychodzi dużo ludzi ze wsi — dodaje pani Zofia. — W tym roku podczas Święta Ludowego uczennica nasza „zwolniła” się z uroczystości domowych, aby być z nami. Dobrze pracuje mi się też z nauczycielami. Może dlatego, że nie czuję się bardzo ważną dyrektorką. Zdarza się, że na radach pedagogicznych sprzeciwiam się mężowi. Może ciasto w szkole sprawia, że wszyscy są bardzo wyrozumiali.

się, czy uczniowie nie skorzystają więcej robiąc coś na użytek szkoły.

— Dlaczego w tym domu nie ma innych rozmów, tylko o szkole — niecierpliwi się Maria. — Pamiętam, gdy przyjeżdżałam ze szkoły w Grajewie, ciągle słyszałam: „Pani Zosia prowadzi zajęcia”. Teraz, jak przyjeżdżam z Łomży, tylko przez godzinę opowiadam o sobie, a później już tylko szkoła i szkoła.

— Mam ich troje; najmłodszą, Janka, pojechała do Grajewa. Wszyscy pragnęli pójść w moje ślady: zamierzali zostać nauczycielami wychowania fizycznego, ale odradziłam. Wiem, jak ciężko trzeba pracować, gdy trafi się w złe warunki. Czasami czuję niedosyt. Myślę, że powinnam pracować w dużej szkole, z prawdziwą salą gimnastyczną. Ale dzisiaj za późno na zmiany.

Syn Mirosław milczy, następnie zaprasza do siebie, do Czyżewa: — W tym domu mówi się tylko o szkole.

WIESŁAW KOŁOWSKI

co u państwa słychać?

CIĄG DAJSZY NA STR. 7

punkt widerzenia



kłopoty na starcie

Stanisław Krasowski, wicekurator oświaty i wychowania: — Ogromna rzesza łomżyńskich uczniów pierwszego września rozpocznie nowy rok trudnych, szkolnych obowiązków. W szkołach podstawowych uczyć się będzie 46 000 dzieci, a w ponadpodstawowych i policealnych 15 500, w tym 6700 w zasadniczych szkołach zawodowych, 4800 w średnich szkołach zawodowych, 3100 w liceach ogólnokształcących oraz 900 w policealnych studiach zawodowych. Wrzesień oznacza również nowy rok szkolny dla przedszkolaków: niestety, w dalszym ciągu dla zbyt małej liczby. Jedynie 18,5 proc. dzieci będzie chodziło do przedszkola, mimo iż przyjęto i tak około 900 ponad normę. Najtrudniejsza sytuacja utrzymuje się będzie nadal w Łomży i Wysokiem Mazowieckiem.

Najwięcej uwagi przywiązujemy do właściwej realizacji programów dziesięcioletki w klasach I—III. Ponieważ pięćdziesięciu nauczycieli (z prawie 600) przystąpi do pracy w klasach początkowych bez przygotowania zawodowego, zobowiązaliśmy dyrektorów szkół i wizytatorów do szczególnie intensywnej pracy z tą grupą. Dotyczy to przede wszystkim środowisk wiejskich, gdzie brakuje wykwalifikowanych nauczycieli. Największe trudności mają gminy Grabowo i Turowo. Najbardziej poszukiwani są fachowcy od nauczania początkowego, matematyki i języka polskiego. W takiej sytuacji trudno marzyć o muzykach i technikach z prawdziwego zdarzenia.

Program zreformowanej szkoły dziesięcioletniej jest bardzo ciekawy, ambitny, ale obecnie prawie niemożliwy do realizacji w środowiskach wiejskich. Decyduje o tym nie tylko deficyt kadry i jej gorsze przygotowanie, ale i niższy ogólny poziom rozwojowy dzieci, ich możliwości percepcyjne. Brakuje blisko połowy pomocy dydaktycznych do nauczania początkowego. Ich lista jest dość długa i obejmuje zarówno takie, które rozprzeczają „Cezas”, jak i te, które każda szkoła powinna wykonać w ramach zajęć praktycznych.

Z roku na rok lepiej przygotowujemy się do prowadzenia zespołów korekcyjno-wyrównawczych (w tym roku będzie ich około 670). Rozwój fizyczny lub umysłowy około 12 proc. dzieci odbiega od normy. Odpowiednia praca zespołów korekcyjnych pozwala na usunięcie lub złagodzenie wielu wad.

Jak co roku, czekać nas będzie rozwiązywanie (miejmy nadzieję — bardziej pomyślnie) starych problemów, jak np. remontowanie szkół, przedszkoli i domów nauczycieli, transport szkolny, zaopatrzenie w podręczniki, w opał itp. Szczególnie gorąco apelują do rodziców i wszystkich sprzymierzeńców szkoły o troskę, zainteresowanie i pomoc szkołom i nauczycielom; oczekujemy od nich bliskich i częstych kontaktów z wychowawcami oraz rzetelnego informowania o zachowaniu się dzieci, o ich problemach i trudnościach. Większość z tych problemów jest niegroźna dla dalszego wychowania i kształcenia dziecka, lecz pod warunkiem, że się je odpowiednio wcześniej zauważy.

— Do dyrektora liceum pani się nie dodzwoni. On tak rzadko siedzi w swoim gabinecie, a co dopiero teraz, kiedy w jego szkole ma się odbyć wojewódzka inauguracja roku. Uwija się z robotnikami od rana do wieczora, aż im głupio nie pracować. Czy on taki mądry i rozsądny? Zależy, jak na to spojrzeć. Ale kto rozsądny tak haruje, wyrzeka się urlopu?

Właśnie skończył dyskusję z robotnikami i pomaga dziewczętom malować płot. Przeprasza za strój budowlana i ręce ochlapane farbą. Wizyta nie była zapowiedziana. Dyrektor Janusz Pikuliński z ochotą pracuje wraz z uczniami: w myśli starej zasady — „Verba docent exempla trahunt”. Bardzo trudno jest bowiem zza dyrektorskiego biurka, w białym kołnierzyku, nauczyć młodzież maksymy, że żadna praca nie hańbi. Najlepsze efekty daje przykład własny.

Szkola ma w środowisku dobrą opinię. Dlatego chyba zdobyła tylu pomocników i popleczników. Nawet remont nie jest straszny, jeżeli ma się np. możliwość uzyskania pomocy dyrektora LPB Tadeusza Słowieskiego, dyrektora Korzuba z Zakładów Gospodarczych czy Franciszka Ciszewskiego, szefa Gospodarki Komunalnej. Jednak na urlop ani dyrektor Pikuliński, ani jego za-

państwa Wietechów, którzy uczą chemii i biologii. Na 128 maturzystów, 62 osoby wybrały biologię jako przedmiot egzaminu ustnego. Polonista, profesor Kostikowa, z dużym powodzeniem prowadzi Teatr Poezji. Przywiązuje do tego szczególną wagę, gdyż według niej, szkoła nosząca imię Adama Mickiewicza nie może zaniedbywać literatury ojczyznej.

Szkola daje nie tylko wiedzę; powinna również uczyć życia, dostarczać dobrych wzorów do naśladowania. Nie tylko przez lekturę. Młodzież musi się uczyć samodzielności. W Kolnie zwraca się na to dużą uwagę, szczególnie od pięciu lat, kiedy to zorganizowano wspólny sejmik młodzieży i nauczycieli. Rozpatrzone wówczas co jest najpilniejszego do zrobienia i jak to zrobić? Nie było stadionu, terenu rekreacyjnego, harcówki. Projekt stadionu gratisowo wykonał profesor Wietecha. Resztę zrobiła młodzież. Kiedy zwrócili się do Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej o zakup żywoptu, dostali go za darmo. A właściwie za gospodarność. Stadion wyceniono na 286 tysięcy 500 złotych. Młodzież zagospodarowała plac przed szkołą. Powstała nawet, na wzór dawnych akademii, klasa pod chmurką. No i jest wreszcie pomnik Mickiewi-

wiane szkole. W czasie egzaminu na uczelnię liczy się przede wszystkim konkretna wiedza i umiejętność logicznego myślenia. W życiu natomiast — koleżeńskość, umiejętność współżycia, samodzielność. Ten okres w życiu młodego człowieka jest bardzo istotny, ponieważ wtedy kształtuje się w pełni charakter i osobowość. Nie zawracaj rodzice są w stanie pomóc w kłopotach i rozterkach wieku dojrzewania. Często decydujący jest autorytet nauczyciela. Nie wszystkie pedagoga obdarza młodzież jednakowym szacunkiem. Nie można zdobyć miłym uśmiechem, przyjaźnią, klepaniem po ramieniu. Oczywiście, nieraz trzeba przemknąć oko, puścić coś płazem, ale też nie można tolerować lenistwa czy nieuczciwości. Kodeks ucznia obejmuje prawa i obowiązki. Uczniowie wolą pamiętać o prawach nauczyciela o obowiązkach.

Młodzież kolneńska nie uchyla się od uciążliwych zadań. Jeżeli uważa je za celowe, sensowne. Potrafi odgruzować, oczyścić piwnice, zrobić sobie harcówkę czy zagospodarować teren wokół szkoły. Samorząd szkolny działa autentycznie, korelując pracę innych organizacji. Współdecyduje o najważniejszych sprawach. Dyrektor wie, że

na pięć minut przed dzwonkiem

stepca, Marian Wietecha, nie znaleźli czasu. Zastępca wyjechał tylko na trzy dni — odebrać dzieci z kolonii babcińskich, ale przed wyjazdem „odprawił” od czwartej rano do dwudziestej drugiej. Sam sobie narzucił takie tempo.

Dyrektor także dwój się i troi. Informuje uczennice, gdzie złożyć pedzel; sprzątaczkę, gdzie znaleźć starą miotłę, a sekretarkę w przełocie — o stażu swojej pracy. Dokładna data jej podjęcia — wrzesień 1965 r. Piętnaście lat pracy nauczycielskiej, pięć — dyrektorskiej. Łatwiej chyba, i przyjemniej, pracuje się bezpośrednio z uczniami. Jest to ciągle wzajemne oddziaływanie na siebie, sprzężenie zwrotne. Uczeń przyjmuje pewne cechy nauczyciela, jego sposób myślenia; dorósłszy, a nauczyciel poznaje inne punkty myślenia — odmładza się. Na swój zespół pedagogiczny dyrektor Pikuliński nie może narzekać. Wyniki pracy dydaktycznej szkoły są dobre. Około czterdziestu absolwentów studiuje obecnie na Akademii Medycznej. Co prawda w tym roku, na dwunastu zdających przyjęto tylko ośmiu, ale były lata, gdy dostawali się wszyscy. Nie mają też uczniowie kłopotów ze zdaniem egzaminów wstępnych na Akademię Rolniczo-Techniczną. Ogromna w tym zasługa

echa. Montowano go — feralna data — trzynastego sierpnia, manipulowanie tonową rzeźbą nie było łatwe — jeden nieuwzględnił ruch i... Powinno być już gotowa w październiku ubiegłego roku. Niestety, marmur, z którego miała być wykonana, rozłupał się. Mistrz Lutostański zaproponował granit. Wprawdzie droższy, ale „lepiej współbrzmie z poezją mickiewiczowską”. W sumie opóźnienie wyszło szkole na dobre.

Odsłonięcie pomnika uświetni wojewódzka inauguracja roku. Szkoły, będące gospodarzem tego typu uroczystości, zazwyczaj traktują ten fakt jako duże wyróżnienie, ale również źródło dodatkowych kłopotów. W Kolnie przyjęto wiadomoś spokojnie. Trzeba było jedynie skrócić okres planowego remontu. Z pomocą przyszli sami uczniowie, którzy przez cały sierpień pomagali w porządkowaniu swojej szkoły. Przybywali piętnastoosobowymi grupkami. Pracy fizycznej, społecznej, niełatwo nauczyć. Nawet rodzice oburzają się często. — Dziecko dlatego chodzi do liceum, żeby nie musiało ciężko pracować w życiu. Ma się tam uczyć — argumentują niektórzy — harować zaś może w domu, na gospodarce.

Różnorodne są wymagania sta-

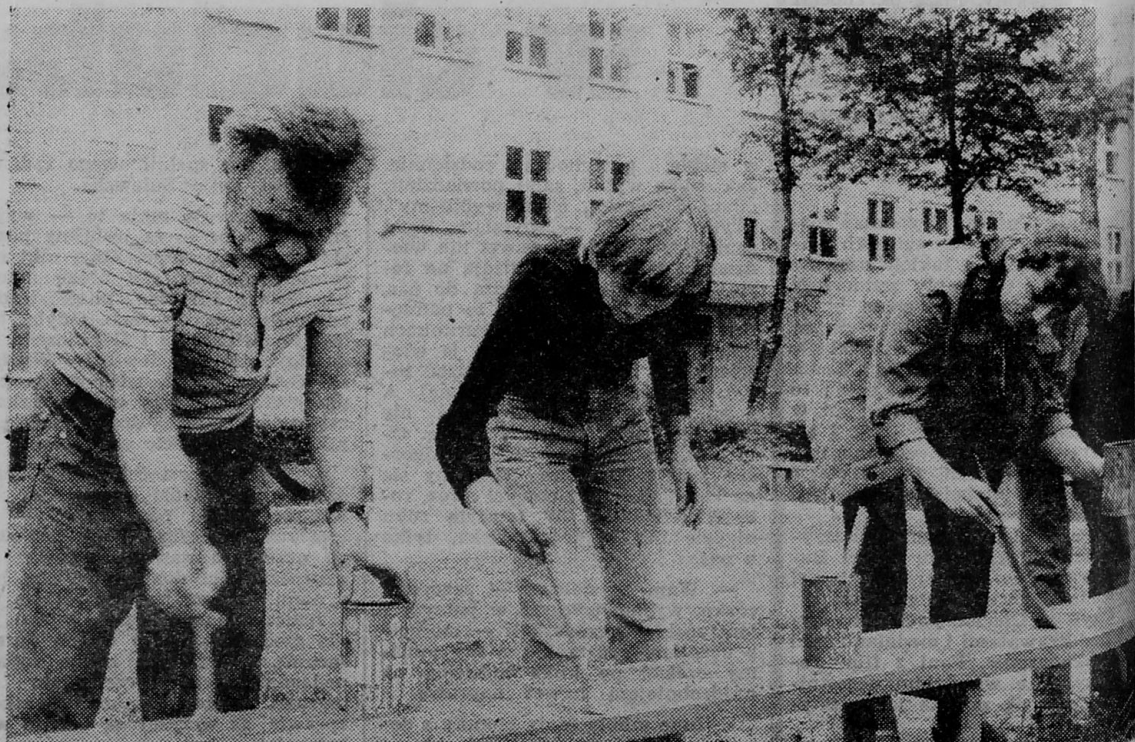
może na niego liczyć i o wiele spraw nie musi się martwić. Zdarzyło się nawet, że uczennice zapały trzech podpiętych gości, kradących szkolne puchary.

Dyrektor Pikuliński mówi, że nie jest przesadą stwierdzenie, iż młodzież jest wspaniała, ambitna i wiele z nią można zrobić. Trzeba tylko przy niej być i rzetelnie rozliczać z prac i obowiązków. Należy ją szanować ale i umieć umiejętnie ukarać. Nie można przez miesiąc i lata przechowywać uraz. Młodzież dopiero uczy się życia, uczy na błędach — cudzych i własnych.

Pięcioletni okres pracy w kolneńskim liceum dyrektor Pikuliński może uważać za udany. Inspektor szkolny twierdzi, że sprawdził się doskonale i jako dyrektor, i jako budowlaniec. Taki jak on przydałby się bardzo w jakiejś zaniechanej szkole. Któż sprawnie od niego może pokierować remontem? Dyrektorowi, prawdę powiedziawszy, nie bardzo podobają się te plany. Bo roboty znajduje się wiele i tutaj. Brakuje jeszcze sali gimnastycznej z prawdziwego zdarzenia, przydałoby się także piętorko na aule. A w międzyczasie może zrobiłby doktorat z historii?

DANUTA SOBOLEWSKA

Fot. Gabor Lőrincz



BEFANA

szkoła · dom · wychowanie



punkt widerzenia



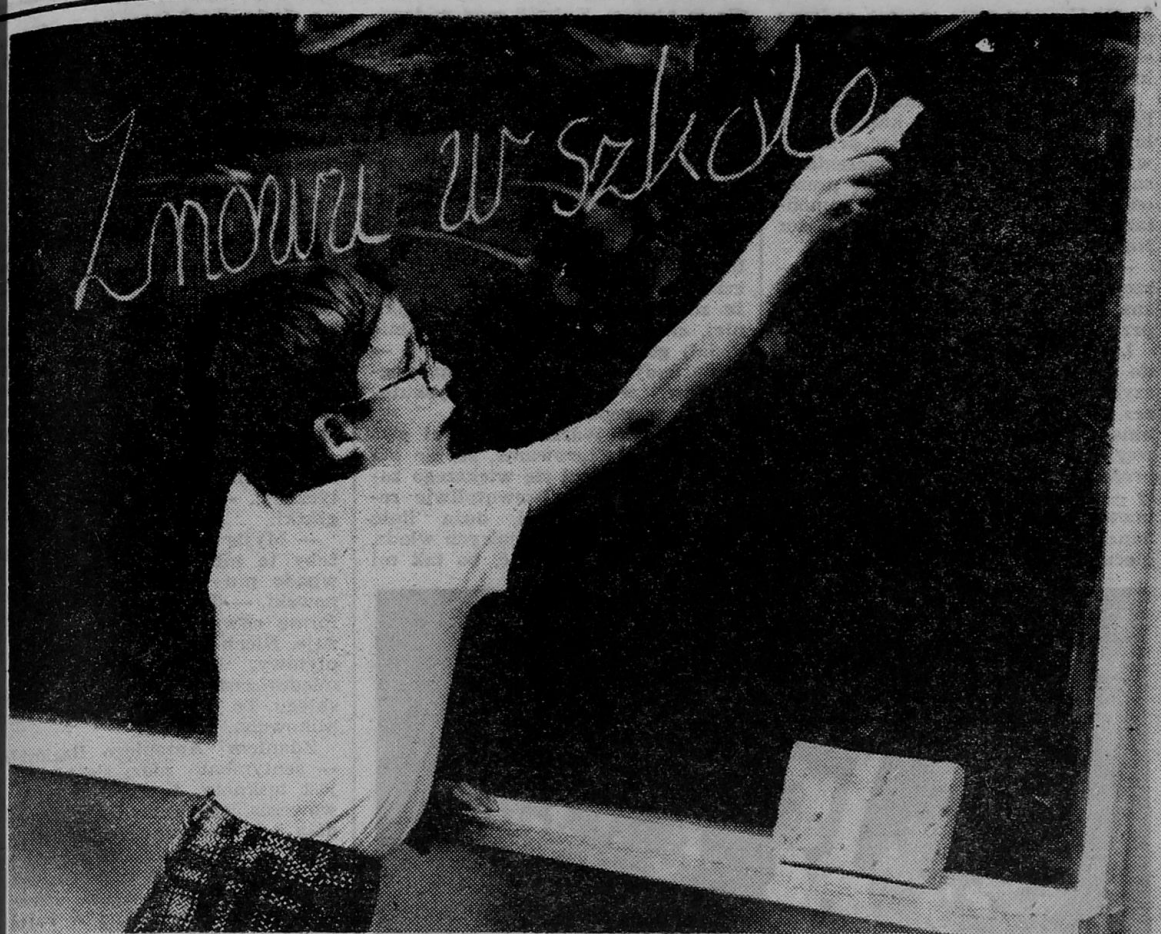
piasek w rękawach

„Informacja Kuratorium Oświaty i Wychowania o stanie przygotowań do organizacji kształcenia i wychowania w roku szkolnym 1980/1981 w województwie łomżyńskim”:
„Spośród 46 remontów kapitalnych 32 prowadzi się w budynkach szkolnych, 7 — w budynkach przedszkolnych, 2 — w budynkach Domów Dziecka, 1 — w budynku internatu, 1 — w budynkach mieszkalnych, pozostałe trzy, to remonty różne [...]”.
Do dnia 15.VIII.br. zakończy się prace remontowe w 20 budynkach szkolnych, 5 budynkach przedszkolnych, jednym budynku internatu. 10 remontów kapitalnych będzie trwało po rozpoczęciu zajęć szkolnych, ostatni z nich w Szczepankowie, gmina Śniadowo, zostanie zakończony w grudniu”.

Cyprian Konopka, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 3 w Grajewie: — Rok szkolny rozpoczynamy w trakcie remontu szkoły. Wszystkie prace mogły być zakończone, gdyby wykonawcy dotrzymali słowa. Zmianę odaszenia radziłem im zrobić w czerwcu, odłożyli na lipiec. W lipcu znów zabrakło im dni i przeniesli termin na sierpień. Zostałem zmuszony do interwencji w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej w Grajewie. Zmieniono ekipę, lecz nie zwrócono straconego czasu. Dziś jest piętnasty sierpień, prace zaś obiecali zakończyć do 10 VIII, a później przesunęli do 15. Są dopiero na półmetku. Rok szkolny rozpocząć się musi. Trzy, cztery klasy będą na pewno gotowe. Szkoła liczy stu uczniów; od września dochodzą dwie klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Wszyscy dojeżdżają, więc po południu nie mogą odbywać się żadne lekcje, bo czym później wrócić do domu?

Wiesława Dziłgowska, sekretarka Szkoły Podstawowej nr 3 w Grajewie: — Wszystko jest w stanie surowym, a malowania w ogóle nie rozpoczęto. Od kilku dni Spółdzielnia Wielobranżowa w Grajewie wysyła codziennie ekipę do naprawy stolarki. A przecież szkoła nie była zaniedbana! Co roku malowano ubikacje, szatnie. Wiekoszowy remont miał miejsce pięć lat temu. Ekipa pracuje jak widać; jest za piętnaście trzecia, rok szkolny za kilka dni, a jej na miejscu pracy już nie ma. Tak jest codziennie. Z poprzedniej w ogóle trzeba było zrezygnować. Był w niej, na przykład, zdun, który rozwalił trzy piece, a żadnego nie postawił. Po prostu poszedł sobie i więcej nie wrócił. Ci też mają piasek w rękawach. Porobił kilka dni i znów ich nie ma. Albo przyjdą, rozpoczną robotę i wychodzą do miasta. Wczoraj poszukiwał ich sam inspektor oświaty i wychowania. Elektrycy twierdzą, że mają tu dach nad głową i mogą instalację zakładać w dni deszczowe; w pozostałe jeżdżą w teren, czort wie do kogo: może do chłopca, a może do badylarza. Malarze byli już dwa razy. Nie mogą wejść z pracami, dopóki są dźwury w ścianach. Przebakują, że nie mają farby. (sz)

szkoła - dom - wychowanie



W klasie na razie więcej zabawy niż nauki, każdy dzień przynosi niezwykle, wręcz sensacyjne wydarzenia. Dzień poznają koleżanki, swoją panią, nawet dyrektora. Mammy — uspokojone już — słuchają z zaciekawieniem. Jeszcze dziesięć dni temu były stremowane bardziej niż ich pociechy pierwszoklasiści.
— Ja liczę każdy dzień. Jeszcze sześć dni zostało.
— Też już bym chciała chodzić do szkoły, bo jest lepsza niż przedszkole.

„KONTAKTY”: — Dlaczego lepsza?
— Bo się trzeba uczyć.
„K.”: — Bawić się już nie chcicie?
— Ja tam wszystkie popsute zabawki położyłam do worka i do szafy schowałam. Będzie dla Dobroszki.

„K.”: — A co zrobiłaś z dobrymi?
— Lalki stoją na półce. Niech się patrzy.

— Też schowałam wszystkie żołnierzyki i samochody. Po co mi?
— Moje zabawki ładnie stoją na półce. Już się nie bawię, ale nie jest mi smutno, bo sobie wspomnę.

— A ja mam za to świnkę. Morską.
— Mnie tatuś złapał króliczka.
— A mnie chomika.

„K.”: — Po co ci chomik?
— Po co? On jest fajny. Je marchewkę i pije mleczko.

„K.”: — Ty mleka nie lubisz?
— Lubię. Muszę pić, bo chcę być wojskowym, tak jak tatuś.

— A mój jest dyrektorem w urzędzie i kupi mi kieszonkowego pieska.

„K.”: — Ale w szkole nie będziecie mogli bawić się zwierzątkami...
— On by był zupełnie mały. Jak go schowam do kieszonki, to mu tylko uszki będą sterczeć. Pani go nie zobaczy. Na pewno!

„K.”: — Kto to jest pani?
— Pani to nasza pani, co jest w klasie. Umie wszystko i dzieci uczy.

— Najważniejsza w szkole.
„K.”: — Pan dyrektor nie jest najważniejszy?
— Nie...

— On chyba wcale nie jest potrzebny.
— Coś ty! On musi odpowiadać! Jak dziecko złamie coś. Rączkę albo nóżkę.

— Tak, tak. Potrzebny.
„K.”: — A pani co robi?
— Uczy.

— I się maluje.
— Siostra mi mówiła, że leje.

— To tak, jak w przedszkolu.
„K.”: — Za co pani bije dzieci?
— Jak się rozrabia.

— Jak się robaki puszczą na korytarzu.
— Pani wcale nie bije, bo dzieci są grzeczne.

„K.”: — Czego pani będzie was uczyła?
— Ja już umiem pisać i czytać, to nie wiem czego.

— Ja też umiem. I rysuję.

— I ja.
— Mama mi nakupowała tyle książek, że pani sama chyba tylu nie przeczytała. Takie ciężkie.

— Eee... pani pewnie przeczytała taką kupę.
— Ale jak się za dużo czyta, to włosy z głowy wypadają.

— Widziałam naszą panią. Wcale nie jest łysa.
— Pewnie tych książek nie przeczytała.

— Ale ma krótkie włosy
„K.”: — Wszystkie dzieci już znają panią?
— Agnieszka mówiła, że to będzie pani Jola.

„K.”: — Wiecie, która to pani Jola?
— Ona chodzi do tej szkoły.
— To koleżanka mojej mamy.

„K.”: — A jak wygląda?
— Ma białe włosy.
— Jest dobra i się śmieje. Agnieszka mi mówiła, że jak Jacek zapytał, czy się sieje samoloty, to pani się śmiała.

„K.”: — Dlaczego?
— Bo samolotów się nie sieje, tylko produkuje.

— A samochody konstruuje. Ja będę konstruktorem i zrobię nowoczesne samochody. Pomarańczowe.
— Ale zrób troszkę większe. Bo jak była cała rodzina, to się nie zmieściłam w naszym wartburgu i musiałam jechać w bagażniku. Bardzo lubię jeździć samochodem. Mama też. Wszyscy śpiewamy, tylko tatuś kieruje.

— Lepiej byś zrobiła dużo autobusów.
„K.”: — A ty co byś chciał zrobić?
— Ja będę milicjantem. Wszystkich pijaków wsadzę za kraty.

— A ja będę chirurgiem. Ludziom trzeba pomagać.
„K.”: — Jak chirurg pomaga ludziom?
— Jak trzeba. Dobrze nie wiem. Ale ja się jeszcze wyuczę na nauczycielkę. Tak jak mamusia. Bym chciała być wszystkim.

— A ja tylko lekarzem. Nie chodziłabym ani do przychodni, ani do szpitala. Zawsze sama bym się wyleczyła.

„K.”: — Ładnie tak myśleć tylko o sobie?
— Nie. Ale po ludzku.

— Ale w szkole nas wszystkiego nauczą.
— Ze szkoły się wychodzi na luzi.

„K.”: — Więc szkoła jest dobra i potrzebna?
— Ładna. Jest dużo obrazków. W klasie i na korytarzu. Są kwiaty. Dużo dzieci i podwórko. Można się ganiać...

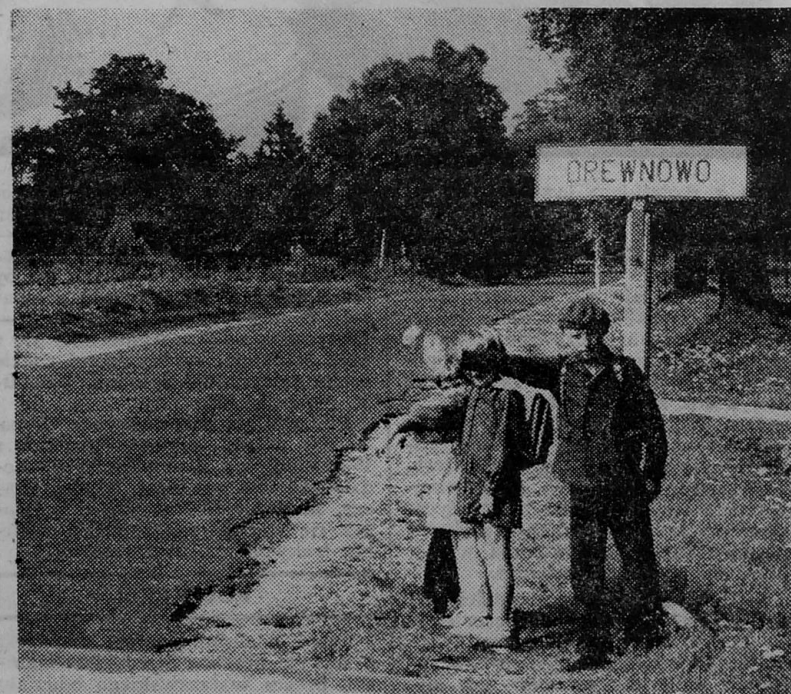
— Na lekcji trzeba być grzecznym i pani słuchać.
„K.”: — Trudno jest być grzecznym?
— Nie, nie trudno.

— Jak jestem grzeczna, to mnie mamusia chwali.
— I da na loda, i nie mówi, na co ja wyrosłam.

— A pani postawi piątkę...
— W przedszkolu to piątek nie dawał, tylko plusy i minusy.

— A jak się plus do minusa doda, to wychodzi średniaczek.
— W szkole zawsze lepiej.

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDR WRONISZEWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



jak góra krzywdy na Panasławkową głowę.

— Nie chce ci się włożyć stroju. Rano obiecywałaś, że zapowiesz — jazgocze.

— Nic nie obiecywałam, kłamiesz! — To ja wychodzę!

Lucyna ulega wreszcie, płacząc z bezsilnej złości. Ten występ folklorystycznego zespołu „Łomża” dla zjazdu absolwentów łomżyńskich szkół nakazała sama dyrektorka Pierożyńska, nieobecna (— Ty jesteś w randze dyrektorki — krzychał dopiero co pan Sławek); Lucyna wie, że musi. Sobota, cholerna sobota. Wstała dziś o szóstej rano, poszła w kolejki, dostała trochę boczków i wyczałaję; koleżanka odłożyła jej schabur, nawet ładny kawalek; zamówiła kurczaki. Czekając na kolejki za ciastkami i podróż do domu autobusem pełnym ludzi, rozdrażnionych jak ona. Dlatego Lucyna jest napięta do historii i ma w nosie tę swoją pracę, która jest dodatkiem zaledwie do kolejek, autobusów, rozwrzeszczanych dzieciaków, wczesnego wstawania. Ale nie ma wyboru. Będzie musiała włożyć szerokie spódnice, biały fartuch, czarny czepek, wyjść na scenę z oczami napuchniętymi od płaczu i zapowiedzieć z kartki: „Występ zespołu folklorystycznego „Łomża”, który w sali tu-tejszego Wojewódzkiego Domu Kultury ma zaszczyt serdecznie powitać państwa absolwentów przybyłych z kraju i zagranicy. Wykonane zostaną pieśni i tańce, jak: „Kurpianeczki”, „Chłopcy moje”, „Olen-ders”, „Wyrwas”, „Stara Baba”, „Powołnaki”. Życzymy państwu przyjemnej zabawy”.

Odświętna sala dawnego Domu Katolickiego; starsze panie, starsi panowie. Siedzi ze trzysta osób. Im młodszy rocznik absolwencki, tym mniej przedstawicieli.

— Sentymenty muszą widać dojrzewać jak wino — mówi pogodnie pani z rocznika 1932.

— Czas są inne, my mamy co wspominać, naszych profesorów można było szanować — dodaje pan z laseczką, rocznik 1928.

Antonina Wróblewska-Organiewicz, rocznik 1936, łomżyńska z Gdyni, całe życie w gastronomii, dziś na emeryturze, nie może zrozumieć swoich starszych koleżanek z Łomży. — Nie przyszły! — wykrzykuje z żalem. — Zrejtowały! W ogóle na naszym zjeździe nieobecne! No, dlaczego?!

Antonina Organiewicz, Helena i Anna Butlerówny spotykają się w Kole Łomżan w Sopocie w pierwszą środę każdego parzystego miesiąca. Czytają referaty o Łomży, piją kawę, a kto tam był ostatnio, opowiada. Co można opowiadać o Łomży w Sopocie? Ach, wszystko jest ciekawe: ploteczki, śluby, pogrzeby, co wybudowano, co zburzono, mój Boże...

— Nie z naszej chęci rzuciły nas losy w świat — powtarzają z pewną emfazą łomżanie z Wrocławia, Warszawy, Torunia, Opola, jakby tłumacząc się z nieobecności tutaj, pełni gorliwego entuzjazmu dla łomżyńskiej zieleni, dróg (kiedyś kocie łby, dziś asfalt), kwiatów, zabytków, władz (osiągnięcia socjalne niewątpliwe). Nadają miastu ton przez te trzy krótkie dni, prowadzą głośne rozmowy na ulicach, rozpoczynane okrzykiem: — Ach, niemożliwe, to ty? — Padają sobie w objęcia, całują się z dubeltówki. Ubrani starannie, ze smakiem, tworzą eleganckie zgromadzenia; wyglądają jak wycięci z „Znana Mów Starszych Państwa”. Fryzury, manicure, makijaż, wody kolońskie, ferfuny.

Absolwenci miejscowi biorą udział o tyle, o ile pełnią funkcje przy zjeździe, to znaczy — wtedy gdy muszą coś wygłosić, powinni gdzieś wystąpić, wypada im coś załatwić dla przyjezdnych. Odróżniają się. Są sztywni, napięci, łatwo wpadają w rozdrażnienie, choć może nie tak krątkowo łatwo, jak pani Lucyna. Wyjątkiem: organizatorzy — animatorzy — społecznicy; nieprzytomni z wrażenia, rozchwytywani, podobnie jak starzy profesorowie.

PIĘKNE PODEJŚCIE

— Codziennie rano patrzę przez to okno na podwórko: tam cegła, piasek, drzewo, latami niszczęją; czy ktoś nie mógłby im tego powiedzieć? — szepcze do sąsiadki 88-letnia Wanda Ney, nestorka łomżyńskich emerytów (135 pań, 47 pa-

nów). Uśmiechnięta, nawet radosna matka i babka pedagogów warszawskich, profesorów ministrów, adwokatów, inżynierów, lekarzy.

Siedzioba Związku Nauczycielstwa Polskiego, zrujnowana kamieniczka blisko katedry. Pod koniec przemówienia o nagrodach, odznaczeniach, sukcesach, pan Mroczeński, prezes oddziału ZNP, wspominał o remon-tach, i wywołał komentarz profesor Ney.

— Cudownie się czuję w Łomży — szepce dalej. — Oni wszyscy rozpoznają mnie na ulicy, kłaniają się, przypominają...

Ludzie są dobrzy. W zeszłym roku do grudnia profesor Ney nie miała czym ogrzać swojego pokoiku. Prezes Związku Emerytów, pan Trębiński, interweniował, i w styczniu węgiel już był. Jedyny kłopot pani profesor: choć duch dzielny i wesoły — ciało mdłe. Pierwsza kategoria inwalidztwa po 60 latach pracy w nauczycielstwie. Dźwigać, palić w piecu sama z trudem daje radę. Ra-

nie w klubie „Kubus”, nad widowiskową salą WDK, spotkali się absolwenci-inżynierowie. — To słoneczne popołudnie nie nastraja do poważnych dyskusji — mówi wicewojewoda Ciupa do zgromadzonych; przyszło kilku absolwentów i siedmiu reprezentantów urzędu. Na stolikach czekały słone paluszki, polo-cocta i broszury pt. „Inżynierowie i technicy województwa łomżyńskiego w służbie ochrony i kształtowania środowiska naturalnego człowieka”. Z materiałów wynikało, że ze środowiskiem nie jest najlepiej, chociaż (co wojewoda lojalnie dodał) gdzie indziej jest gorzej. — Może podyskutujemy, o czym moglibyśmy w przyszłości podyskutować — zaproponował.

Inżynier z Warszawy zabrał głos i wyraził rozczarowanie, że nie ma tłoku. Spodziewał się większego zainteresowania. — Niewątpliwie rekompensatę stanowi duża ilość przedstawicieli miejscowych władz, i ja chciałbym zapytać, bo tak mi

na rok oddział topnieje. — Wymyślił... Na pierwszy zjazd w 1980 przyjechało 1800 łomżyńskich, a drugi około tysiąca, na trzeci 800, czwarty 500, z okazji piątego w drukowano 2000 zaproszeń, przy-chowało 360 osób; tyle akurat zdołało się obecnością zaświadczyć, że pamiętają, kochają... — Mój najpierw chcę mieć dobre zapie-zyciowe, pewność podstaw mater-nych — mówi pan Bagiński z lancholią — sentymenty odkładaj na potem.

Czterdziestolatek Antoni Cnowski z Urzędu Wojewódzkiego, prezes oddziału łomżyńskiego, do-je, że nie bardzo umie znaleźć wy-naj język z młodymi, przestą cz-mu nie starcza, tyle społeczno-romantycznych funkcji sprawuje.

— My, przedwojenni absolwenci wychowani na literaturze roma-tycznej... — zaczyna Stanisław B-ński.

— Myślę sobie nieraz, co zro-biłyby ta młodość, trafiła do nas, wpada mu w słowo Antoni Cnowski. — Trzeba jej zapropono-wać formę chwytliwą; coś, co zmo-żuje. Niech to będzie wieczór lek-płytowy, lekko romantyczny, a międzyczasie wplatamy coś łom-żskiego. To jest sprawa nader sko-plikowana.

Zdaniem Antoniego Bagińskiego — sentyment rodzi się tam, gdzie jest tęsknota, a tęsknota budzi się wówczas, gdy człowiek pozostaje dala od obiektu uczuć, od rodzin-nych stron. Czy dlatego tylko łom-żniacy mówią tyle o uczuciach, piszą wiersze, piosenki, śpiewają, płaczą nad Narwią i w katedrze podczas specjalnej mszy z okazji zjazdu, i w ogóle zachowują się Łomży jak Polacy z emigracji? Starym Mieście w Warszawie? — bardziej ich cementuje: może chowany w sercu obraz szuwara zamarniętych pod przeczczystą fi-lą Narwi, który śni się Halinie M-roszowej, łomżniance z Warszawy może własny obraz — młodych, pięknych, zdolnych do wszystkiego zwycięstw nad światem. „Była nadzieja, kuźnia cnót wykutych w uszczepionych do duszy/dziś losy śmieją legion serc zatrutych/choć uolił dobrej się kruszy/Pozost-przystania — wesołą, promienną/ dawniej w swej całej urodzie/ ca odchłania miłości bezdenną/ cham — łomżyński mój grodzie” — tłumaczy fenomen wierszem Tade-Butler, architekt z Wybrzeża.

— Całkowicie nie wyobrażam-bie, żeby na takie wiersze wazył ktoś mieszkający tutaj — waru-ramionami nauczycielka z Opola. Przede wszystkim wstyd. Żeby ra-żać takie niepraktyczne uczucia, trzeba się pozbyć najpierw balu-wstydu. To jednak jest gra... My przyjeżdżamy i przez te parę c- jesteśmy aktorami jakiegoś happy-ningu, potem wracamy do siebie.

Annę Badygę z Białegostoku ma-jomy w Poznaniu prosił o nawia-nie korespondencji z pewnym sta-cem z Suchumi. Ów starzec, spotka-ny w czasie wakacji, dopytywał o uparcie o kontakt z kimś z Łom-ży. Okazało się, że jest Rosjaninem, który na początku stulecia opu-ścił miasto i ten kraj, ale całe życie zbierał wszystko, co się z Łom-ży wiązało; nauczył się po to polski-go. Anna Badyga napisała, po-tem spotkała go w Suchumi. Stary c- wiek kazał sobie opowiadać o Łom-ży. Przeglądał zdjęcia, przywiozł wycinki z gazet schował zaraz ch-wie, jak największy skarb. Chciał mu opowiadać o Polsce. Nie ch-„Mam 87 lat — mówił jej najcy-tszą polszczyzną. — Jedno miałem w życiu kochanie, Łomżę. Już z-zobaczę jej. Za stary. Umrę i obrazem pod powieką.”

Pan Młot-Debowski, lat 82, o-znaczony Krzyżem Waleczny, przez samego prezydenta Star-skiego, przed- i powojenny rad- i doradca ministrów, dyrektor n-nopolu zapakowanego, starą Łom-widzi wyraźnie jak w fotoplasty-nie. — Przed wojną — opowiada, ale nie tą ostatnią, tylko tamtą, każdej wsi i miasteczku był eta-wy wariat. Sołtys nakazywał go- takiego w każdym domu, a on szedł od Czarnocina do Kalińca i dał. My mieliśmy małego Żyda, My-peję. Dokuczał on rosyjskiej orke-strze wojskowej i myśmy go za-kochali. Przed orkiestrą szedł ta-burmajor i wywijał w takt buła-wał wszystkie jego ruchy, patyk-Jako wariat był nietykalny.

Wariackie papiery chronią



MARTA WESOŁOWSKA

palenie jętek



zem z dodatkiem inwalidzkim ma-renty 3600 złotych.

— Staremu z górą wystarczy — zapewnia. — Cóż za potrzeby w tym wieku...

Wysłużyła się dla młodych, pro-wadziła świetlicę, gabinety lekar-skie, douczanie, dożywianie. Za tę pracę społeczną dali na starość po-koik w siedzibie ZNP. Żeby tylko ten widok zza okna się zmienił.

Pan Trębiński przemawia do ab-solwentów; opowiada o wieczorach łomżyńskich, noworocznych, jesiennych, wiosennych, kiedy eme-ryci schodzą się w celach artystycz-no-poetycko-śpiewaczych, a niektóre panie uświetniają spotkania wystę-pami na wysokim poziomie.

— Czyż nie piękne podejście on do nas ma? — szepcze profesor Ney.

— Ja też tańczę i śpiewam. I ży-czyłabym młodym kolegom-naucz-cielom, żeby tak śpiewali, jak my. W tym samym mniej więcej cza-

się marzy, w czym mógłbym po-móc? Żeby jakoś ten nasz entuzjazm wykorzystać — prosił żarliwie. — Może przy budowie Domu Technika w Łomży? Ja jestem z tych, co by wzięć urlop i przyjechał tu z łopa-tą... Wiem, ryzykuję śmieszność — faktycznie, władze uśmiechały się z zakłopotaniem. — Wy lepiej zna-cie realia tej trudnej sytuacji. Dziękuję, przepraszam.

Podniósł się wicewojewoda Ciupa. — Nie wiem, czy pan inżynier z Warszawy tak z przekazem powie-dział, że jest nas tutaj, władzy zna-czy, za dużo? Na przyszłość będzie-my się starali zabezpieczyć więk-szą frekwencję. Teraz realia...

POGWARKI

Przed wielkim Raurem pogwarki o sentymentach. Stanisław Bagiński, prezes warszawskiego oddziału Towarzystwa, skarży się, że z roku

wielu. Obaj stryjkowie inżyniera Bohdana Karwasińskiego z Warszawy zaginęli na Syberii, a ojciec tak-
że unikł zbrodni: do rosyjskiego wojska na wojnę japońską się udał.
Inżynier po pierwszej wojnie współ-
wydawał (jako licealista) jedną z
czternastu gazet w Łomży. Te gazety
wybuchły razem z entuzjazmem
podziękowanej wolności, bo przedtem
były jej było — powiada — ile met-
rów między stółkami na rogach
ulic. Entuzjazm dawał ów kolosalny
impuls do wypowiedziania się; żadnej
cenzury, żadnych skrępowań, pięć
drukarni, poglądy wszystkich odcie-
ni — od prawicy do lewicy. A cen-
tralna prasa docierała z jednolito-
nym zaledwie opóźnieniem. Cóż, fe-
nomen trudny do wytłumaczenia.

ORGIA WYSORÓW

W hotelu „Polonez” cztery panie nad lodami i kawa: dwie przyjezdne, dwie miejscowe, siłą prawie przez przyjezdne ściągnięte. Przyjezdne i miejscowe to emerytki, byłe urzędniczki i nauczycielki. Przyjezdne: Anna i Joanna. Tutejsze: Alinka i Halinka. Tak się do siebie zwracają. Anna nie odwiedza wszystkich ukochanych miejsc z obawy, że sobie zepsuje piękne wspomnienia. Czasem lepiej zostawić w pamięci coś... niedomkniętego. Alinka nieśmiało wtrąca, że zimowa pora to autobusy są nie do wytrzymania. Uświadniać na przystanku można. Halinka nieraz i poszaby do kina; przed wojną cztery były, teraz jedno: „Październik” (dawniej „Zdrój”), ale tam strach chodzić, bo w powietrzu butelki latają.

Wśród miejsc, których oglądać nie należy, jest lipowa aleja parkowa w samym środku wykarczowana bezlistnie. Stoi tam w poprzek alei (i rozsądku) blok mieszkalny. — Nasi dziadkowie, gdyby żyli, zapłakaliby bardziej niż my — wdycha Joanna.

Co robią na emeryturze przyjeżdż-
ne i tutejsze? Przyjeżdżne przekrzy-
kują się. Ich dni są przeładowane!
Robotki, przyjmowanie gości, skła-
danie wizyt, odczyty, koncerty, uni-
wersytet powszechny — bez egza-
minów, tylko dla przyjemności —
wreszcie! Tutejsze słuchają tego po-
pisu możliwości, orgii wyborów, z
zapartym tchem, z zażenowaniem.
Telewizja — bąkają — spacer cza-
sem, ale lepiej siedzieć w domu.
Spłoszone, przestraszone kawiarnia,
hotelem, rozmowa, która może być
wyniesiona na publiczny widok, tyl-
ko raz krzyczą: „Nie! Nie!” Za nie
w świecie nie podadzą nazwisk,
zresztą absolutnie nic nie miały do
powiedzenia.

Artysta rzeźbiarz Wiesław Sielski, naczelny plastyk województwa — gdy dzieckiem będąc z Łwowa przyjechał do Gliwic i znalazł się pierwszy raz na studziennym podwórku wielkomiejskiej kamienicy — podskoczył do piłki leżacej na br-

ku i kopnął ją z rozmachem. Piłka okazała się kulą z żelaza. Artysta Sielski twierdzi, że podobne odnoś wrażenie, gdy od trzech lat usiłuje sprowokować tutejszych do czynnego udziału w życiu kulturalnym miasta. Zrobił wystawę poligrafii amerykańskiej, rozesłał 60 zaproszeń na wernisaż, przyszło sześć osób; na przedwczorajszą prelekcję o teatrze Eugenio Barby — dwie osoby; o Grotowskim — cztery osoby. Poprzeczka za wysoko? Pewnie tak, ale to jedyna droga. W tym społeczeństwie drzemie silne poczucie snobizmu, i to jest dobre, tylko trzeba wykorzystać, rozdrażnić. Artysta Sielski planuje otworenie w Łomży Domu Środowisk Twórczych o celach podobnych do celów Centrum Pompidu w Paryżu. Ma być pełna dokumentacja dokonań artystycznych naszych czasów. Niech wszystkie dobre duchy zmarłych artystów mają w swojej opiece.

Na razie kończy się nowy Komitet Wojewódzki. Trzy okazałe budynki, rozrzucone po placu budowy, naprzeciwko zrujnowanego kamienia z wieloma tabliczkami: „Polski Związek Głuchych”, „Polski Związek Niewidomych”, „Emeryci, Renciści, Inwalidzi”. Wątpić nie sposób: w rozłożystym kompleksie KW wszystkie te instytucje-siostrki znajdą godziwe lokum. Dla ZSMP też miejsca wystarczy. A w starym KW, centralnie położonym, będzie można urządzić wreszcie piękną bibliotekę i małe kino. Panie Alinka i Halinka na pewno nie będą bały się tam chodzić.

I JESZCZE DALEJ

Róg Sadowej ulicy, blisko siedziby biskupa i WDK, w południe słonecznej niedzieli. Podniecona, wzruszona gromadka absolwentów. Zaraz nastąpi ważny moment: odsłonięcie tablicy pamiątkowej. U góry, na murze, w biało-granatowej emalii: „Ul. 22 Lipca”. U dołu, w płaskowcu: „Dawna Ul. Dworna prowadząca w XVI w. do Dworu Królewskiego zw. Zamkiem — Tow. Przyj. Ziemi Łomżyńskiej 1980”. Przemówienia, lzy, kwiaty. Pan Ogrodnik rozdaje na pamiątkę karty uczestnictwa; ile kto chce, tak wiele zostało. „I sen się kończy i senne marzenia, ale jest coś, co nie mija, szkolne wspomnienia” — ta strofa kończy uroczystą część oficjalną. Podziękowania organizatorów i uczestników.

— To, co nas łączy, jest trwałe — mówi pan Ogrodnik — szkoła, mia-

— I kościół — dodaje starsza pani, wycierając chusteczką oczy. — Spotkamy się znowu, jeżeli dożyjemy, za pięć lat? A może za trzy?

Jeszcze adresy, telefony, uściski, wspólnie śpiewane „My, żołnierskie dzieci, pułk 33”, „Uplywa szybko życie”. Stareńki ksiądz Dobkowski rozdaje wszystkim obrazki święte.

Ksiądz proboszcz i ksiądz wikary fotografują się pod tablicą z absolwentami.

po drugiej stronie ulicy, na chodniku, stoją tutejsi. Milczą, uśmiechają się, wyszeptują komentarze. Bez aprobaty, bez dezaprobaty. Jest niedziela, nic innego do roboty nie mają.

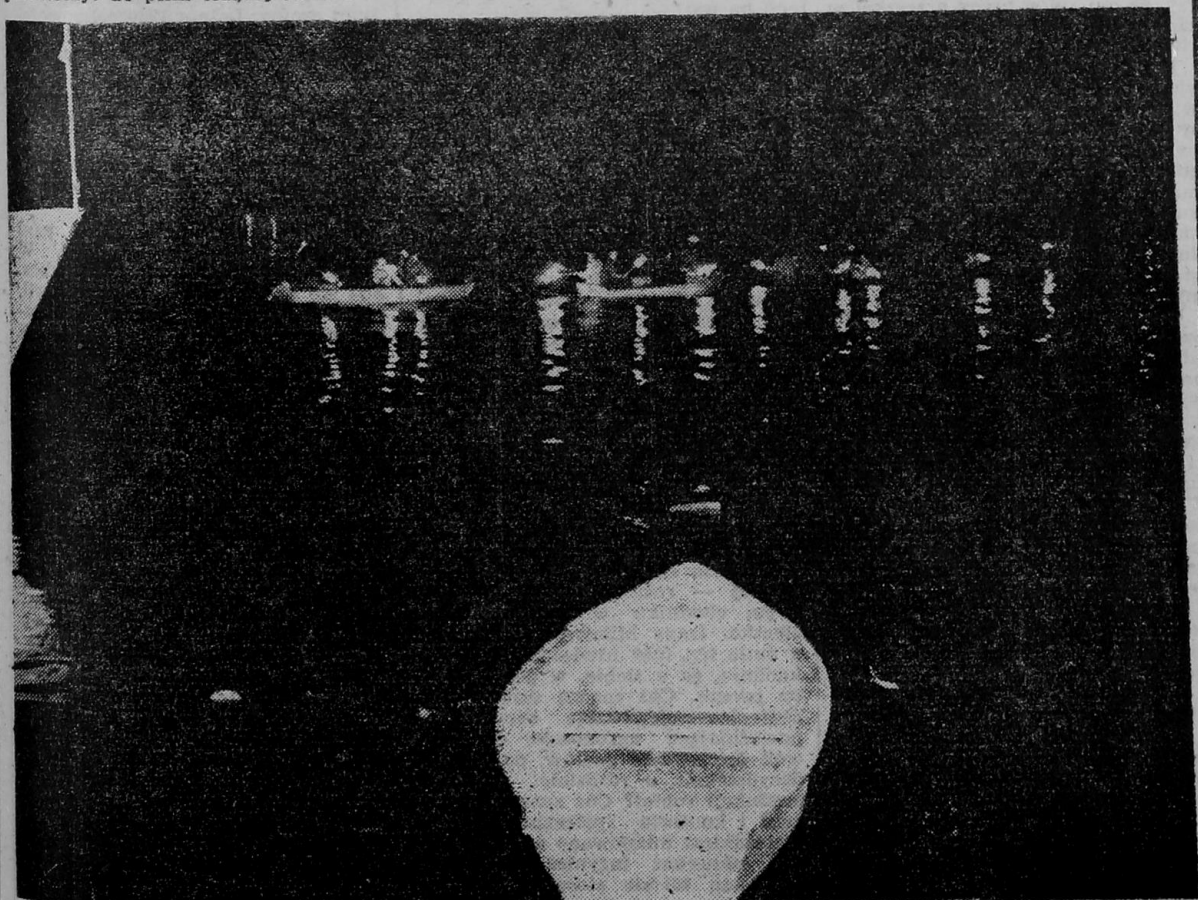
W hotelu „Polonez” za dziesięć złotych kupisz łomżyńskie ABC. Jest tam hasło: Palenie jętek. „Palenie jętek można obejrzeć na Narwi na przełomie lipca i sierpnia. Setki tysięcy jętek — drobnych żyjątek dennych, odbywają jednocznie gadowy lot. Od setek lat na rzekę wpływają wówczas łodzie zaopatrzone kiedyś w smolne łuczyska, dziś — w bateryjne latarki i reflektory. Chmury jętek lecą do światła opadając na łódź. Dawniej używano ich jako karmy dla domowego inwentarza, obecnie służą za przynętę dla ryb.”

I tak już jest z jatkami: piękne i pożyteczne, w krótkim swoim życiu przetrzymują paroksyzm szczęścia — w locie ku światłu — oraz przynoszą wymierną korzyść gospodarczą. Z człowiekiem sprawa jest bardziej złożona. Potrzebujemy swojej smugi światła, przestrzeni do fruwania, żebyśmy nie skapcenieli całkiem, nie spłowieli i nie zapyzili, nie pozwolili się zasnurować, odrutować, usztynnić, zmanekinizować, zmumifikować; żebyśmy uniknęli losu ptaka, zamienionego w stuprocentową kure. Trzeba nam odrobiny metafizyki, dziwności, czarów, duchów. Jednodniowość, jętkowość zdarzenia nadaje mu wymiar, unadzwyczajnia szare nasze życie. U siebie, w swoich Warszewach, Gdyniach, Wrocławach, Toruniach, łomżyńscy aktorzy jednego spektaklu nie różnią się wcale od łomzań u siebie. Tak samo boją się śmieszności, dziwności, inności. Tak samo nieufnie, z dystansem, patrzą na rozanielonych polonistów, głośno, bez skrepowania demonstrujących swoje jednodniowe uczucia. Tam, u siebie, mają swoje akademie, pochody z listą obecnych i nieobecnych, wręczenia i odznaczenia według scenariusza, uroczystości z klu-
cza.

Spontaniczności i swobody nie można zadekretować, wymusić. Zachować się swobodnie — znaczy: czuć się współuczestniczącym współtwórcą, równym między równymi, akceptowanym i akceptującym.

Łomżyński absolwenci, gatunek wymierający, są tacy wspaniali, bo chronią, jak umieją, wartość rzadką i piękną: wiare, że poza codziennym kurzymy dziobaniem jest smuga światła, na której — jeżeli tylko mocno zechcą — wyfruną przez uchylone okno w księżycową poświatę i jeszcze dalej.

MARTA WESOŁOWSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY



DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

stom filmowym. Napędce więc zrobiono listę i wypłacono po 600 zł każdej osobie.

2. Podczas gdy w Ciechanowcu w latach: 1977, 1978 i 1979 OBM budował nawierzchnię i chodniki na rozkopanej ulicy Wspólnej, w oparciu o szczegółowo opracowany kosztorys na sumę 3 127 745 zł, diabeł Bużański do tego stopnia zamącił w głowach ludzi odpowiedzialnych za wydatkowanie państwowych pieniędzy, że nie reagowali oni na uwagi mieszkańców, iż roboty są prowadzone źle, i nie ma nadzoru technicznego ze strony inwestora. W roku 1980 już nic się nie robi, mimo że robót nie dokończono. Nawieziony piasek utrudnia nie tylko przejazd, lecz przejście. Stoi woda w wielu miejscach na jezdni, a najwięcej naprzeciw posesji Ob. Treblińskiego — z powodu braku studzienki ściekowej. Nie potożono drugiej szcieralnej warstwy bitumicznej, są liczne przełomy. Diabeł Bużański, istota bez wykształcenia, do tego stopnia przyćmił magisterskie głowy, że przez trzy lata trwania robót nie były one w stanie złagodzić zakrętu na niezabudowanym odcinku ulicy w pobliżu bazy ZUM-u. Na tym więc zakręcie roboty utknęły. Ciekawi mnie tylko to, jak rozliczy się inwestor z wykonawcą w świetle kosztorysu stanowiącego integralną podstawę umowy. [...]

3. W latach 1978 i 1979 wybudowano w Ciechanowcu „dworzec autobusowy” kosztem 5 milionów zł. tej budowie diabeł Bużański ma chyba największe zasługi, gdyż tak zamącił w głowie inwestora, że mieszkańcy mają obecnie podstawę do nazywania tej inwestycji „dworcem bez dworca”. Na wysoko położonym, twardym miejscu wyłożono plac piętami lotnikowymi, zaniebując nawet należyte wypozio-
mowanie terenu, i nie pobudowano budynku dworcowego. Jak powszechnie wiadomo — płyty lotnikowe są bardzo kosztowne i kładzie się je tam, gdzie grunt jest podmokły i miękkie. Zatem więc w 5-milionowych nakładach można byłoby po gospodarsku zmieścić kilka budynków dworcowych.

4. Bużański w wolnych chwilach, jak można zauważyć, wyjeżdża do stolicy województwa — Łomży. Było to tak. W Ciechanowcu zlokalizowano prywatny warsztat kowalski w miejscu, gdzie powinno być skrzyżowanie ulic, pozwalające dużym maszynom eskaerowskim na wyjazd z bazy ZUM-u w pole i swobodny powrót do niej z możliwością wyminięcia się z innym pojazdem samochodowym lub zaprzegowym. W lokalizacji tej prywatna wzięła górę nad potrzebami społecznymi. Napisałem w tej sprawie do Wojewódzkiego Komitetu Kontroli Społecznej w Łomży. W wyniku tego zjawiała się w moim domu 3-osobowa Komisja. Przewodniczący tej Komisji, okazał się postacią pan, zapytał mnie, dlaczego ja innym ludziom utrudniam życie tym pisaniem, a następnie zapytał, czy mam zamiar żyć sto lat. Nie mogłem zrozumieć, kto takiego pana wydelegował do tak wysokiej Komisji. [...].

5. Kolejna z zauważalnych zasług Bużańskiego: w br. w Clechanowcu odbywały się wybory do Komitetów Osiedlowych. Mimo że na zebrania prawie nikt nie przyszedł, wybory przeprowadzono. Osoby wybrane do Komitetów nie wiedzą, że już „działają” społecznie i będą tak działały aż do zakończenia kadencji, nikomu nie zakłócając spokojnego życia — zgodnie z intencją pana z Wysokiej Komisji (pkt 4).

6. Bużański próbuje demoralizować kierowców w Ciechanowcu, a przy tej okazji wprowadzić w zakłopotanie funkcjonariuszy MO. Oto na ul. Dworskiej, gdzie po obydwu stronach ulicy stoją autobusy, namalowano linię ciągłą, którą każdy kierowca zmuszony jest przekroczyć omijając stojący autobus. Jak dotychczas milicjanci nie wiedzą, czy karać kierowców za naruszenie przepisów, czy też tego, kto linię namalował."

EUGENIUSZ MIŁKOWSKI
Ciechanowice

— To był początek lat pięćdziesiątych. Wodomistrzówkowy pęd. Jak grzyby po deszczu rosły piętrowe wille z garażami i ogrodami; przy każdej chlewiku i składówka. Agrom gromadzi to był ktoś. Wszyscy we wsi go znali, a jak szanowali! Gdy się u nas pojawił, żona od razu wyciągnęła półlitrowkę i stoiki miśsiwa. A dzisiaj? Nawet nie wiem, jak się nazywa nasz agronom rejonowy, dziewczyna to czy chłopak, bo wiesz pan, w gminie są młodzi, zaraz po technikum. Ani my dla nich, ani oni dla nas. Bo co taki będzie mnie uczył dodawać do trzech, jak ja znam tabliczkę mnożenia.

Czy te odczucia osiemdziesięcioletniego gospodarza-rencisty spod Szepietowa, Antoniego Bielskiego — dalekie są od prawdziwej oceny pracy dwudziestotysięcznej rzeszy służby rolnej w Polsce? Kim właściwie jest dzisiaj agronom? Fachowcem rolnym i doradcą w 90 procentach siedmioklasowych chłopów polskich? Przekaznikiem zaleceń pływających z województwa i centrali? Organizatorem produkcji rolnej w 220 gospodarstwach (średnio w kraju tyle właśnie na jednego przypada) czy egzekutorem kontraktowych należności wobec gminnej spółdzielni? Człowiekiem upowszechniającym wiedzę i postęp rolniczy we wsi (takiego agronoma wyobraża sobie wicedyrektor Departamentu — Nauki i Oświaty Rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa, mgr inż. Stanisław Dęska) czy też raczkującym teoretykiem sztuki agronomicznej i hodowlanej, który od sółtysa uczy się rozróżniać rasy świń?

Inżynier Witold Dołęgowski, od dwudziestu lat pełniący funkcję agronoma w Mońkach, mówi, że poradnictwo i upowszechnianie nauk rolniczych na wsi należy między bajki włożyć.

— Nie mam czasu pojechać na wieś, chyba że zimą. I administratorem, prawdziwym zarządcą rolnictwa, też nie jestem. Ile biur, tylu panów.

Inżynier Irena Milewska ze Śniadowa, kierująca od pięciu lat pracą sześciuosobowej służby rolnej, myśli podobnie, choć sąd wygłasza bardziej powściągliwie: — Ja tu pracuję, żyję z rodziną i tutaj chcę pozostać. A jeśli mówi się, że agronomowie zbijają kokosy, to dlaczego u mnie ciągle są wakaty i namówić nikogo do pracy nie mogę?

Agronom to nie urzędnik, choć jego przełożeni wiele czynią, aby przyszedł do biurka.

W gminach służba rolna zmienia się bardzo często: ponad dziesięcioletnim stażem legitymuje się zaledwie co piąty pracownik, a 52 procent piastuje etat instruktora krócej niż pięć lat. Skąd to orbitalne krążenie, skoro słyszy się w ministerstwie czy w województwie, że agronomom stworzono wszelkie dogody: do budowania wiejskiego dobra. Bezpłatne agronomówki z wygodami, miejscami na samochody, stanowiskami dla dwóch świń i półhektarowe działki mają, to fakt. W kraju stoi — bądźmy skrupulatni — 2821 takich obiektów; mieszka w nich siedma część pracowników służby rolnej. Garaże pustkami nie świecą: statystycznie w co drugiej gminie przedstawiciel służby rolnej dysponuje samochodem; a ile hoduje świń — nie wie nikt. Pytani indywidualnie i anonimowo — nie chcieli ujawnić. Dlaczego?

Mają też działki. Na półhektarze można rocznie zarobić do pięćdziesięciu tysięcy. W podbiałostockich gminach są i tacy, którzy na malinach, porzeczkach i nowalijkach „zbijają” ponad sto tysięcy złotych. Nie mają się tej opłacalnej kontraktacji dla zabicia czasu; raczej z braku gotówki. Łapówek nie dostają, a dodatkowego pólstatu w gminie nie znajdują, bo wyczerpane.

Kto zatem idzie do tego zawodu? W służbie rolnej najszybciej pracę otrzyma technik. Obecnie w kraju wolnych jest kilkaset miejsc dla geodetów, instruktorów wiejskiego gospodarstwa domowego i budownictwa wiejskiego, agromeliorantów, a także szefów służby rolnej. W Łomżyńskim, na przykład, Goniądz i Grajewo mają kierowników pełniących obowiązki bez angażów.

Mowa tu o ilości, nie jakości, bo nikt nie dopuszcza myśli, by oficer rolnictwa w gminie nie miał studiów, ale po prawdzie — tylko co trzeci może takim dyplomem się wylegitymować.

Co tu ukrywać, gminni agronomo-



Fot. Gabor Lőrinczy

wie w przeważającej mierze rekrutują się z przedstudenckich odrzutów, potęchicznych weteranów, z ludzi nie chcianych gdzie indziej. Aby nikogo nie skrzywdzić, trzeba powiedzieć, że trafiają się też agronomowie z solidnym wykształceniem, głęboką wiedzą praktyczną, nienagannym morale.

Inżynier Milewska ze Śniadowa chwali własną kadrę (bo czyż mogłaby inaczej?), ale w zaufaniu opowiada, że na zebranie do Ratowa Piotrowa, wsi trzydziestu kilku „mędrkujących” gospodarzy (mówi o nich z przekąsem, lecz z podziwem, że tacy czytani i zaradni), najchętniej jeździ sama.

— Kiedyś wysłałam młodą dziewczynę, ale wróciła zapłakana. Nikt jej złego słowa nie rzekł, lecz nie potrafiła odpowiedzieć na proste pytania. Łkając mówiła mi, że te ironiczne spojrzenia zebranych najbardziej ją dotknęły. Myślała, że pod ziemię się zapadnie. Dłużej zostać u nas nie chciała.

Irena Milewska i Witold Dołęgowski, choć przedzieleni wojewódzką miedzą i oddaleni o sto kilometrów, mówią tak samo: dzisiaj rolnik nie czeka na poradę, nie kocha szkoleń i na nie nie chodzi (chyba że musi, gdy potrzebuje zaświadczenia, iż jest

lic. Na przykład kazala wykreślić takie zdanie: „Po reformie administracyjnej, w siedemdziesiątym piątym, ilość pism wpływających do gminy wzrosła trzykrotnie; wysyłanych tylko dwukrotnie, bo na wszystkie nie mam siły ani czasu odpowiadać. Boli mnie, że czas przeznaczony na rolnicze rozmowy kurczy się coraz bardziej”. Ale ja nie mogłem przemilczeć tej prawdy, i to nie tylko by być w porządku wobec wielotysięcznej kadry doradczej, ale także wobec rolników, którzy chcieliby przynajmniej o dobrej przyszłości z agronomem pogawędzić.

Nie godzi się Irena Milewska z nadmierną, przejawiającą dalsze skłonności do rozrzedzenia, biurokracją. Ilość kontroli NIK-owskich i ich skrupulatność rośnie wprost proporcjonalnie do spadku pogłowia zwierząt. Inspektorzy kontroli państwowej szukają recept w opasłych segregatorach, jakby to one właśnie pomniejszały hodowlę, wydłużały tuc, marnowały w pocie czoła wyliczoną kontraktację.

Planowanie, prognozowanie, sprawozdawczość, narady, zebrania masowe, rozmowy o rolnikach — oto czym wypełnia się czas pomocników wsi. Gdzież tu miejsce na upowszechnianie, poradnictwo, wdrażanie

byłe dobrze biurka strzec

HENRYK KIN

prawdziwym gospodarzem), a jak widzi agronoma, to myśli, że nowy, piąty, spis rolny wymyślił, i psoczy, że mu się w pracy przeszkadza, czasem (co gorsza) do niej się zachęca lub nawet straszy grzywną.

Kazimierz i Barbara Zyznowscy, kiedy tylko ujrzą panią Milewską w obcym towarzystwie, odrzucili kosy i zaczęli ciągnąć do stołów. Na pytanie, jakiej pomocy oczekują od gminy, zaszepili się, po czym Kazimierz niespiesznie odrzekł: — Pomocy nam nie trzeba. Przyśle kółko maszynę, to dobrze; nie przyśle, też dobrze. A zbożu zgnić nie damy, bo ja i wszyscy z Ratowa z niego żyjemy.

Gdy jednak kierownik Milewska poszła w zbożowe snopy (pozować do zdjęć), Zyznowski odsłonił swe prawdziwe oblicze. — Wie pan — wycodził — pomóc nie pomogą, a zaszkodzić mogą. Cóż więcej dałoby się powiedzieć? Lepiej opowiem, jak kiedyś miałem taki dobry sen: że gminę w Śniadowie zlikwidowali! W zamian w geesie wszystkiego pełno było: plugów i węgla, cementu, nawozów i siporeksu, cegieł i wapna; nawet belki żeliwne i kaloryfery bez zlecenia wydawali.

Irena Milewska, która wróciła z pola, podejrzliwie patrzy na nasze roześmiane twarze. — Co wam tak weselo? — pyta.

— A bo opowiadałem redaktorowi, jak to już blisko raju byłem.

— Oj, pan na niebo zasłużył tą ciężką pracą, ale na nagrody przyjdzie jeszcze poczekać — dyplomatycznie odpowiada pani inżynier.

Sama o swojej pracy woli mówić mało, najlepiej wcale, gdyż wie, że wszystko może przeciw niej się obrócić. Na pytania odpowiada tylko; czasem, gdy się zapędzi, każe kre-

postępu? Kiedy wyjść naprzeciw rolniczemu prośbom i postulatowi? Kiedy sterować procesami produkcji na wsi?

Niby to, co i jak robią gees, eskaer czy bank spółdzielczy, w dużej mierze powinno zależeć od gminnego agronoma. Prezesowi Kuleszy z geesu inżynier Milewska miałaby dużo do powiedzenia, ale to bezcelowe. Dla siebie, męża i malutkich dzieci — Dorotki, Ani i Adasia — stawia dom w Śniadowie; w pełni jej się on należy. Chociaż w geesowskich magazynach jest lysawo i nieelegancko, a śniadowskich sklepach brak soli, oranzady, mleka, sera, sznurka i kos, nie mówiąc o artykułach wyszukanych, to pani Irena zawsze kłania się z daleka prezesowi Kuleszy.

Prezes przy pierwszym naszym spotkaniu na deptaku przed Urzędem Gminy był układny i grzeczny, lecz nie przyszedł na umówioną rozmowę z agronomem i reporterem. Następnego dnia tłumaczył, że nie pamiętał, by z kimkolwiek się umawiał. Pół Śniadowa widziało, jak prezes Kulesza — po opuszczeniu stanowiska pracy o piętnastej — rozganiał kurz po mokrym chodniku w centrum miasteczka. Irena Milewska oniemiała, a mnie ten fakt utwierdził w przekonaniu, że u siebie, w geesie, jest on panem. Cóż znaczy wobec tego centralno-wojewódzkie druczki, upoważniające agronomów do kontroli działalności geesów, do współdecydowania o rozdziale środków produkcji rolnej? Cóż znaczy samorząd i kontrola społeczna, której rzecznikiem mianowano agronoma?

Z eskaerem inżynier Milewska też łączy bliskie stosunki. Gminie przypisano zadanie wytypowania

rolników upoważnionych do świadczenia usług poza kolejnością. Teraz trzeba pilnować, by podpisy jej i naczelnika spółdzielni uszanowała. Dawniej różnie z tym bywało; dyrektorzy, a może bardziej dyspozytorzy, na administracyjne pisma zezem patrzyli.

Od kilku miesięcy eskaer ma nowych ojców i od kwartału stosunki układają się przyjaźnie, ku obopólnemu zadowoleniu — jak określa dyrektor Borawski. W tym miejscu pani agronom protestuje: — Całkiem zadowolona nie jestem.

Nie dziwię się; na eskaerowskim placu długi rząd zdezelowanych i podgnitych przyczep ciągnikowych, osiem przeżartych rdzą i rozszabrowanych wiązałek żniwnych oraz wiele innych drogiej, importowanych maszyn, nie nasmarowanych od ubiegłorocznych wykopków. Kierownik służby rolnej kwituje temat następująco: — Dyrektor Borawski sporo pracy tu włożył, ale za mało.

Jest więc agronom po trosze gminnym milicjantem w cywilu. Milewska wolałaby nim nie być, bo stosunków psuć sobie nie chce. Woli raczej uchodzić za rachmistrza. Kiedy zbliża się czas spisów rolnych — styczniowego, kwietniowego, lipcowego i październikowego — cała gmina przemienia się w biuro statystyczne, a służba rolna wyrusza do każdej z 1300 zagród i oblicza hektary, dodaje zwierzęta, odejmuje gospodarstwa. Ostatnimi laty po każdym spisie gospodarze gminy nosy spuszczały na kwintę; pogłowia malało, skup też. Na krótko. Zaraz po spisie pani Irena, wraz z pomocnikami, układała nowy domek z kart — program odbudowy pogłowia zwierząt. I po każdym takim planie humory wszystkim wracały. Mogła gmina napisać prawdę, z którą jednak nie chciała się obnosić. Bo ktoż wyżej uwierzyłby, że może nie być lepiej?

Programów rozwoju pisze gmina co roku kilkanaście. Niektóre się potem tylko powieli, zostawiając pustą polną nową liczbę. Bywają takie referaty, które inżynier Milewska zna na pamięć. Naczelnik zorganizował — bodaj dwa lata temu — sejmik młodych rolników. Byli dostojnicy z Łomży, ale sam naczelnik nie przyszedł. Milewskiej wypadło referować. Ta, nie mając żadnych ściągawek, bez zająknięcia wyrecytowała wiersz o gminie marzeń — Śniadowie 1985. Dostała duże brawa, bo chłopci lubią długo i gromko klaskać, jeśli prezydium szybko i krótko przemawia.

Inżynier Milewska zna prawie wszystkich rolników z gminy; ba, zna ich żony i dzieci, a niektórych nawet przezwiska. Ją także po dziesięciu latach pracy znają. Wiedzą też, że można na niej polegać. Nie odmówi nikomu, co najwyżej załatwienie odroczy. Ta wzajemna ufność najbardziej ją cieszy. Zaraz za tym stawia osiągnięcia śniadowskiej gminy. Latem 1980 roku województwo sklasyfikowało gminy — od najlepszej do najgorszej. Warunki rolnicze, ustawiają Śniadowo na dziewiętnastym miejscu, sprzedaż płodów rolnych — na medalowym, drugim.

— Teraz wiem na pewno: jakiś sens tej pracy jest — powiada uszczęśliwiona statystyka.

Wiadomościami rolniczymi pani inżynier może zaimponować. W praktyce rolniczej też jest dobra. Zna się na zootechnice, weterynarii, agrotechnice. Przyjechała z własnego gospodarstwa w Ostrołęckim. A pochlebne słowa wygłosili rolnicy — Klimaszewski, Zyznowski, Jastrzębski, Tyska: — Jak trzeba, pomoże bratu w żniwach; sąsiadowi z naprzeciwka też nie odmówi. Bywało, że z gospodynią krowy doła, bo akurat światło odcieli.

— Jeżeli wywozisz na pole obornik, zapomni o jego woni, a pamiętaj o jego pożytkach — parafrazuje inżynier Milewska, jakby na poparcie swego postępowania, aforyzmem Aleksandra Świętochowskiego. Powiedzmy uczciwie: drugiej Milewskiej trzeba by ze świeżką szukać.

Tu przypomina mi się opowieść Antoniego Bielskiego, wspomnianego czasu przedwojenne. — Ekonomem za Piłsudskiego byłem, a to tyle samo, co dziś być agronomem. Dłogadłem pana pole, a musiałem to tak robić, by obficie rodziło. Bo jak ziemia by nie rodziła, pensji by nie było. A dzisiaj? Dobry jest agronom, gdy dobrze biurka strzeże.

sztandar przyplynał z wielką wodą

Komendant rejonowej OSP, ppłk Józef Niklewicz, wysiadłszy z wołgi i zorientowany w sytuacji, zaczął krzyknąć na cały głos: — Powiedz mi wszystko, wytłumacz, to i tak nie zrobię, jak trzeba. Przygotowali pozostawienie, a o flagowym sztandarze zapomnieli. O, pan patrzy, temu nagle zachciało się łoda!

Istotnie, jeden z trzciannańskich strażaków, w nowym, lśniącem mundurze, odchodził od budki z niemałą porcją do lizania; przeszedł akurat jeźdźnię i kierował się na boisko, na główne miejsce uroczystości, gdzie już prowadził czworonoga kolumną całą jednostkę OSP jej naczelnik, Feliks Leszczyński.

Na boisku stała trybuna iście strażacka, zrobiona z przyczepy od ciągnika z SKR-u, przykryta zielonym sukniem i wzbogacona o drewniane schodki. Obok widniał zestaw głośników „Vermona”, mikrofony, nieco dalej — stół z równiutko ułożonymi odznaczeniami: dwoma złotymi i trzynastoma brązowymi medalami „Za Zasługi dla Pożarnictwa” oraz dziesięcioma odznakami „Strażak Wzorowy”. Ponadto czekały dyplomy uznania.

Z centrum boiska dolatywały odgłosy komend: „Baczność! Równaj w prawo!”

— Mówiłem o linii — krzyczał komendant. — Gdzie jest ta linia? — Gdzie jest ta linia? — pytali w falistym dwuszeregu strażacy.

— Gdyby trawa była niższa, można by linię wysypać piaskiem — dodał ktoś z miejscowej komendy.

Ale ppłk Niklewicz był już wyraźnie zdenerwowany. Wprowadził bezpośrednio im tego nie powiedział, ale wyznał reporterowi: — Nie doceniają aktu nadania sztandaru. Za łatwo im przyszedł. Jakby z tą wielką wodą przyplynał.

Nagle z dwuszeregu odeszło kilku młodzieńców: Józef Mroczek, Stanisław Malinowski, Antoni Rafałko. Mieli na sobie strażackie marynarki i swoje prywatne, kraciaste i pasiaste, spodnie.

— Przywieźli tylko jeden rozmiar i nie znaleźliśmy nic dla siebie — wyjaśnił jeden z nich. Musieli śledzić przebieg uroczystości zza trybuny. Strażackie czapki z trudem trzymały się na ich długowłosych głowach.

— Gdzie są te czasy — zapytywał nestor trzciannańskiej OSP, Aleksander Koszykowski — gdy padały ostre strażackie komendy i należało do nich ściśle się stosować. Dyscyplina była u nas jak w wojsku, a i musztra nie słabsza, bo my ćwiczenia mieliśmy co niedzielę, od szóstej do ósmej. A niech ktoś spróbował nie przyjść! Do dwóch razy mu to uchodziło płazem, jeśli znalazł jakieś sensowne usprawiedliwienie. Za trzecim razem zostawał ze straży wydalony. Szliśmy na ćwiczenia i wracaliśmy z nich zawsze ze śpiewem. Dziewczyny wychodziły na drogę, popatrzyć; a i starszaki na nasz widok aż płonęły z zachwytem. Były to pierwsze powojenne lata, więc polskie mundury, chociaż strażackie, robiły wrażenie. Teraz to pospolite ruszenie, nie straż. Wykonują komendy jak tresowane kaczki. Tylko wstyd człowiekowi przynosi.

Ustallili wreszcie linię. Będą stać prostopadłe do drogi biegnącej przez Trzciannę. Ciągłe napływali nowi ludzie, bo przybyli i chłopcy z okolicznych wsi, gdyż wieść o jubileuszu 70-lecia istnienia trzciannańskiej OSP rozeszła się po wszystkich gminnych siółach. Wchodzili na boisko lub zatrzymywali się przy ogrodzeniu. Wielu z ciekawości przystawało na drodze. Trzciannańska świątla i zaproszonymi gośćmi zapelniała się trybuna.

— Cholera! — przybiegł nagle jeden z organizatorów uroczystości — zapomnieliśmy na śmierć o płycie z hymnem narodowym. Przy „Międzynarodówce” wciągać flagę na maszt chyba nie wypadło?

Zanim odezwali się doradcy, już sam zdolał zdecydować. Flaga powędrowała na maszt przy milczącym pochylonych głowach, w rytmie niedzielnej ciszy trzciannańskich lasów.

— Hymn mogliby odśpiewać — doszły głosy z grupy przy ogrodzeniu. Zagłuszyły je dźwięki „Międzynarodówki”. Wkrótce słowa podchwycili wszyscy, ustawieni w dwuszeregu, strażacy.

Zaczął się część oficjalna: powitanie gości, referat okolicznościowy, uhonorowanie najlepszych, nadanie sztandaru. — To długo nie potrwa — informował jeden z siedzących na trawie. — Nowy naczelnik nie lubi długo przemawiać.

— Z godzinę pochłonię pewnie same odznaczenia — uzupełnił sąsiad. Zasłużonych z trzciannańskiej OSP jest wielu. Czerdziestolecie działalności w szeregach straży obchodzą: Henryk Sienkiewicz, Leopold Puchalski, Paweł Popławski, Jan Siemieniewicz, Stanisław Ciecierko. Tadeusz Piekusko święci trzydziestolecie działalności, Henryk Poduch — dwudziestopięcioletnie, Feliks Leszczyński — dwudziestolecie. Do tych przybyli na uroczystość zastępy wnuków.

— Naczelnika gminy — zauważył ktoś ze stojących przy siatce — zupełnie nie poznałem. W nowiuśkim, strażackim mundurze, w czapce.

— Jak to, nie wiesz? — dziwił się drugi — przecież on też jest w straży, prezesem chyba.

— Dzisiaj strażacy mają dobrze — kontynuował swą wypowiedź A-

leksander Koszykowski — do każdego pożaru jadą samochodem. My po dziesięć kilometrów biegaliśmy pieszo, bo gdy alarm był, to chłop z koniem uciekał. Przychodziło też samemu ciągnąć beczkowoz. Mieliliśmy ich pięć i jeden wóz rekwizycyjny oraz trzy wodne pompy ręczne. Zabudowania, wiadomo, były przeważnie drewniane i, w dodatku, kryte słomianą strzechą. Więc z reguły zabezpieczaliśmy to, co jeszcze się nie paliło. Klepli na nas chłopcy, którym pożar zżarł wszystko. Bardzo nam ich było żal, bo wtedy spalić się — oznaczało: zostać biednym, biedniusińskim. Ludzie ofiarowali coś na odbudowę albo i nie. Wyposażenie, nie powiem, jak na owe czasy, mieliśmy jedno z najlepszych, musieliśmy je jednak kupić za własne pieniądze. Sprzedawaliśmy znaczki, rozpinaliśmy kartki z napisem OSP na odpuściach i jarmarkach, organizowaliśmy loterie zebranych przedmiotów. O strażacki mundur musieliśmy zadbać sam. Towar i uszycie wyniosły mnie 26 złotych. Kosztowało to 13 dni pracy po 2 złote, bo taka wtedy była przeciętna dniówka. Ja bruko- wałem ulicę i karczowałem lasy. Udało mi się zarobić i 5, i 6 złotych dziennie. A jak założyłem swój mundur, panie, to paradowałem po całej wsi. Od razu miałem u dziewczyn lepsze powodzenie. Byłem prezosem OSP, Stanisławowi Romaszce, błyszczała cała kłapa munduru. Odnaczenia wisiły prawie jedno na drugim: złota odznaka „Strażak Wzorowy”, „Polonia Restituta”, „Zasłużony Białostoczyźnie”, „Zasłużony Pracownik Rady Narodowej”. Uroczystość wyrażnie go nie satysfakcjonowała do końca: — Cieszę się, że władze doceniają naszą działalność i nadają nam nowy sztandar. Nie wiem jednak, dlaczego chcą zabrać ten stary do muzeum pożarnictwa w Szczuczynie? Wszyscy jesteśmy przecież bardzo z nim związani, bo był tu z nami w Trzciannie już tyle lat. W czasie wojny przechowywał go ksiądz proboszcz, Stanisław Mikulski. W pierwszych latach powojennych zaopiekował się nim jeden z nestorów trzciannańskiej OSP, Henryk Sienkiewicz. Z nim witaliśmy naszą władzę ludową, strażacką kolumną szliśmy do pierwszych po wojnie urn wyborczych. A teraz nagle zabrakło dla niego miejsca podczas tej uroczystości! Jak byśmy się nie liczyli z naszą własną przeszłością! Strażakom z jednostki też wcale to się nie podobą. Rozmawiałem na ten temat wcześniej z komendantem wojewódzkim. Stwierdził, że hasło sztandaru już nieaktualne i sprzeczne z rozporządzeniem prezesa Rady Ministrów.



Nadszedł uroczysty moment nadawania sztandaru na drzewcu. Podeszli z gwoździ- kami fundatorzy, przedstawiciele gminnych władz i zasłużeni strażacy. Inicjatywa ufundowania nowego sztandaru wyszła od naczelnika OSP, Tadeusza Leszczyńskiego. OSP Boguszki wpłaciły tysiąc złotych i tyleż Bank Spółdzielczy w Trzciannie. Sztandar kosztował trzydzieści pięć tysięcy złotych.

— Co tam, panie, mówię: ufundowało społeczeństwo. Przecież nie było na ten cel żadnych składek.

— Co ty wygadujesz — przerwał stojącemu przy siatce młokosowi drugi, z bujniejszą czupryną. — Miałby wpłacić instytucje, lecz ani GS, ani SKR nie dołączyły się. Słyszałem, że resztę dofinansował naczelnik gminy.

Wbił już swój gwoździak Stefan Sawicki, członek byłej orkiestry dętej. Grał na barytonie. Paweł Grześkowiak wtórował mu na puzonie.

— Odległe to czasy — wzruszył się Paweł Popławski. — Ja grałem na kornecie. Zagrałbym sobie jeszcze i teraz! — Izy mu się w oczach zakręciły.

O orkiestrze dętej myśli się również obecnie.

— Instrumenty panie, kosztują, a my nawet remizy nie mamy — zmartwił się Henryk Sienkiewicz. — Sprzęt trzymany jest w piwnicy budynku Urzędu Gminy.

Na boisku poruszenie. Ci, co siedzieli pod drzewami, wstali. Ci, którzy mieli zasłonięty widok, podeszli bliżej. Z dwuszeregu odbiło trzech strażaków przepasanych bia-

ło-czerwonymi szarfami. Ucałowali nowy sztandar w czerwieni i błękit. Wiatr jakby tylko na to czekał — odwracał sztandar do publiczności najpierw jedną stroną, później drugą: czerwienią i błękit, błękit i czerwień.

— Bardzo ładny jest, piękny — padały głosy.

— Co tam bedzieta gadać — wtrącił się rozpięty pod szyją, w wygniezionej marynarce, rolnik. — Tamten miał ładniejszy wygląd. Ten jest ze słabszego materiału. Z ortalionu.

— A tam, głupoty pleciesz — zachnęła się żona niezadowolonego. — Jak wypijesz, to wszędzie widzisz tylko ortalion.

Poczet sztandarowy odmaszerował na wyznaczone miejsce. Do mikrofonu podeszł komendant wojewódzkiej OSP, płk Jerzy Gadomski. Podziękował wszystkim strażakom za ubiegłoroczną pomoc w akcji przeciwpowodziowej, za udział w gaszeniu pożarów oraz — prowadzoną na szeroką skalę — działalność przeciwpożarową. Trzciannańska OSP ma w tej dziedzinie bogate tradycje.

Stanisław Ciecierko przypomniał sobie swój najpiękniejszy powojenny dzień. Przypadło mu w udziale jechać do Knyszyna po zwykłą pompę i drabinę Szczerbowski. Wynajął furmankę na fundusz gminy. — Mogę powiedzieć — wyznał na koniec swojej wypowiedzi — że właśnie od tego symbolicznego sprzętu rozpoczęliśmy nasze powo-

jenne strażackie istnienie.

Uroczystość zbliżała się ku końcowi.

Ryszard Grochowski ma dziesięć lat. Właśnie zmierzał ku wyjściu. — Trzeba zawsze gasić pożary — powiedział mi — bo to jest okropne nieszczęście, gdy tak nagie wszystko się pali: dom, stodoła, obora. Później ludzie nie mają gdzie mieszkać, co jeść. Muszą wszystko budować od nowa. W ogóle nie powinno być takich okropnych nieszczęść.

Z boiska zeszły już opalone mieszkanki Trzciannego: Alicja C. i Lucyna F., spędzające w domu swoje wakacje.

— Mogliby się lepiej przygotować do dzisiejszej uroczystości — stwierdziły. — Myślałyśmy, że będą jakieś pokazy, część artystyczna. Przecież wielu ze starszych było w orkiestrze.

— Co ty chcesz — przerwała jej stojąca obok. — Przecież później będzie zabawa.

— Co tam zabawa — broniła swego stanowiska poprzednia. — Przynajmniej mogliby ruszyć głowami i wymyślić jakieś skece.

Pokazy i skece były trochę później. W pierwszej kolejności trzciannańscy strażacy, jako że zawsze dotychczas gasili pożary, teraz, z okazji święta, postanowili ugasić pragnienie. Wykonanie tego zadania szło im równie dobrze, jak przy niejednym pożarze. Gorzej wracało się im później do domów: po dwóch, po trzech, wzajemnie się wspierających. Najwięksi egoiści trzymali się plotów.

Fot. GABOR LÖRINCZY



Wszelkie bale maturalne zostały anulowane. Uroczystości zakończyła akademicka, na której Adam wygłosił odczyt. Dyrektor Obida osobiście mu gratulował i radził poświęcić się literaturze. Od Marii Łackiej otrzymał list z gratulacjami. Zapytywała, czy zamierza z ojcem spędzić lato. Wybierała się na Hel, lecz raczej w sierpniu, gdyż w lipcu będzie zajęta egzaminami. W Łomży zjawili się Szymkowiak i zaproponował wspólną wycieczkę w Tatry. Byli dorośli i nie musieli jechać na wakacje z rodzicami. Propozycja została przyjęta i małą gromadką — Stach, Adam, Nidziński, Zocha, Janka i Jola — wyjechali pod koniec czerwca do Bukowiny, gdzie bez trudu wynajęli dwuizbową chatę u górala.



Bukowina wydała im się piękną. Pierwszy spacer zaprowadził ich na przełęcz Głodówki, stanowiącej punkt wszystkich wycieczek doliną Roztoki w głąb Tatr. Szli stromą ścieżką, mało uczęszczaną przez niedzielnych spacerowiczów. Ogłoszeni ciszą, otwartą przestrzenią, zawieszoną na zboczach, powolnym wspinaniem się słońca po dalekim horyzoncie, prawie do siebie nie mówili. Nawet Janka nie zdradzała ochoty do dyskusji. Stach siedział samotnie, Zocha pochylała się na każdą roślinę, Jolka plotkowała na temat Ireny. Doktor Marcinkowski zamierzał ją w przyszłym roku wysłać na dalsze studia do Sorbony. W schronisku na Głodówce zamówili garniec zsiadłego mleka i jajecznicę na boczku. Potem siedzieli na werandzie i podziwiali widok gór. Dziewczyny były zmęczone i markotne.

Następna wycieczka prowadziła z Wodospadów Mickiewicza, doliną Roztoki, do Pięciu Stawów, gdzie zamierzali przenocować i nazajutrz — Orlą Percią — zejść do Gasienicowej. Pogoda nie była najlepsza. Do schroniska w Pięciu Stawach przyszli dopiero pod wieczór i po kolacji położyli się spać. Nie była to noc spokojna. Stach majaczył, krzyczał, zrywał się, z trudem go obudzili. Za oknem noc szamotała się z wichurą. Łomotał dach, trzeszczały schody. Janek Nidziński dziwił się, że są jeszcze takie miejsca

na ziemi, gdzie człowiek staje się niepotrzebny.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zdziwiła się Jola.

— Nic. Upewniłem się, że jestem. Adam zamknął okno i próbował znaleźć zapalniczkę. Znowu ktoś szedł po schodach i Zośka powiedziała, że się boi.

Nazajutrz wyruszyli w drogę później, niż zamierzali. Świeciło słońce, ale było zimno. Droga nie była łatwa. Skąły rzucały cienie i otwierały przepaście. Dziewczyny piosły się na skalnych półkach.

— Byli tacy, co schodzili Zamartą Turnią i nie wrócili — odezwał się, idący na końcu, Stach i odruchowo zatrzymał się nad przepaścią.

— Nie mieli po co, ale ty chodź i nie zwracaj głowy.

Po zejściu do Zakopanego dziewczyny poszły włożyć się po sklepach. Stach z Nidzińskim wybrali się do Muzeum Tatrzańskiego, Adam wpadł do Ritza, by wypić małą kawę, a może nawet piwo „Żywieckie”.

Nie zdążył się jeszcze rozejrzeć po kawiarni, gdy ktoś zawołał go po imieniu. Bliżej okna, niemal w cień, siedziała Regina z matką. Za-

mą, dwie biedne Polki, zupełnie w tym towarzystwie nie liczyłyśmy się. Jeszcze mama, która zna jidisz, mogła się z nimi porozumiewać, natomiast ja zupełnie nie.

— Nie mówisz po żydowsku?

— Jestem Polką i zawsze mówiłam po polsku — odpowiedziała nie bez odcienia dumy. — Nawet wiersze piszę w naszym języku. Chcesz, przeczytam ci. Taki mały, głupi wierszyk, napisany dla ciebie — i nie czekając wyciągnęła zeszyt:

„Słońce utkane z kwiatów pochyla się nad głową,
Wiatr przeszedł obok.
Nawet liście nie drgnęły.
Nikt myśli nie odgadnie, dlaczego

śną z tobą,
Choć nie spacerujesz nocną porą ze mną.”

— Szczęście, że nie rymujesz.

— Doprawdy? Kiedyś kochałam się w „Czarnej wiośnie” Słonimskiego, teraz wolę Rłakowiczównę. Zbliża mnie do swojego życia. Może dlatego, że jestem chora, nie potrafię myśleć, jak wszyscy ludzie. Zapewne nie jestem normalna.

— Opowiadasz głupstwa. Wszyscy

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

prosiły go do swojego stolika. Wracali właśnie z Piszczan po uciążliwej kuracji. Regina była w dobrej formie. Chodziła prawie normalnie. Wybierała się do szkoły. Mówiła szybko, wyraźnie podniecona, i nie spuszczała z Adama wzroku. Musiał jej opowiedzieć o wycieczce w góry i obiecać, że odwiedzi ją w pensjonacie na Antałowie.

— Biedne dziecko — powiedziała matka, która dotąd prawie milczała — okropnie nudziła się w Piszczanach. Niech pan do nas zajdzie, upiekę ciasteczka, które pan zawsze tak lubił.

W kilka dni później wybrał się do Zakopanego i bez trudu odnalazł willę, w której mieszkała Regina. Przyjęła go głośnymi okrzykami radości; była szczęśliwa, że dotrzymał słowa. Sama podała mu herbatę. Istotnie chodziła lepiej, nieznacznie utykając na prawą nogę. Opowiedziała z przejęciem o wielkim świecie w czeskosłowackich uzdrowiskach.

— Wyobraź sobie, Żydzi z całego świata, i to jacy bogaci! My z ma-

ludzie posiadają skazy i swoje sekrety.

— Mam ich zbyt dużo. Niektóre znasz. Odkryłam swoje ciało przypadkowo, gdy miałam gorączkę, i nie chciałam nikogo znać poza sobą. Dopiero w tobie zakochałam się naprawdę, ale ty masz swoją Zochę.

— Jesteś dzieckiem i nie powinnaś o tych sprawach myśleć.

— Pierwszy naiwny? Miałam niecałe trzynaście lat, gdy stałam się dojrzałą kobietą. Nie zastanawia cię, do jakiego stopnia ludzie prowadzą podwójne życie? Kłamia, udają, załatwiają interesy, a potem jak ćmy, lecą na pierwszy ogień, który je spala. Dopiero ten akt jest szczerzy i prawdziwy. Wolność człowieka, swobodny wybór własnego stylu, to jedyne wartości życia.

— Głodni i uciskani nie mogą tak myśleć.

— Nic mnie oni nie obchodzą. Przestaną być głodni i uciskani, wyślą nowe więzy, by uciskać innych lub siebie. Człowiek zawsze

będzie taki sam: chciwy egoista okrutnik, zaciągający mordera, uprawiający samogwałt, gdy nie ma innej ofiary. Przyszłość świata? Nie ma jej. Podobnie jak nie ma ciebie, gdy przestajesz być kochankiem.

— Należy wierzyć, mieć idee, by móc cokolwiek osiągnąć.

— Dlaczego nie wierzysz w Boga? Bóg jest krążeniem po nieskończoności, a jednocześnie pozwał nam być sobą. Grzeszyły i westalki, i zakonnice. Święta Teresa uduszała się do orgazmu, a córki Jehowy, pozbawione duszy, stały się naczyniem grzechu. Nie możesz oderwać ode mnie wzroku? Boisz się, że cię uwiodę? Nie myśl, że jesteś mi potrzebny. Płomień miłości może równie łatwo rozpaść się, co zgasnąć. Nikt z nas nie jest w stanie wymknąć się z pułapki zastawionej przez Boga.

— Powinnaś pisać nie wiersze, a filozoficzne teksty.

— Nie wierzę w pozory wiedzy. Człowiek powinien kierować się uczuciem. Wyjdiesz, będę płakać, przeklinając Zośkę, tarzać się po lodzie, szukać śmierci. Jesteś mi potrzebny, by nie oszukiwać siebie. Magdalena była, podobnie jak ja, grzeszną Żydówką. Kochała się w Synu Bożym, którego Bóg opuścił, by mógł stać się człowiekiem i zbawić świat.

— Nie nadążam za twoimi myślami.

— Jesteś ociężały i leniwy, jak każdy goj. Pocałuj mnie.

Adam z trudem zdążył na ostatni autobus i musiał nie wyglądać najlepiej, gdyż Jola spytała: — Ciasteczka Reginy stanęły ci kością w gardle?

— Skąd ten pomysł?

— Masz głupią minę, jak kot przyłapany na gorącym uczynku.

— Regina zmęczyła mnie swoim gadulstwem.

— Gadulstwem? Od kiedy to się tak nazywa?

W kilka dni później Adam otrzymał od ojca list, który naglił z przyjazdem na Hel. Po dniach słoty pogoda się ustaliła i należało z niej korzystać. Może z obawy przed kolejnym spotkaniem z Reginą, nie bez wyrzutów sumienia w stosunku do Zochoy, Adam postanowił przyjąć zaproszenie i nazajutrz wyjechać nad morze.

W miarę czasu jego rozmowy z ojcem stawały się szczerze, nawet intymne. Po kąpieli usiedli do tradycyjnych flader. Po kilku wyjaśnieniach, dotyczących uniwersyteckich planów Adama, stary Targowiak nawiązał do własnych wspomnień.



— Dzień dobry. Niech będzie pochwalony. Gospodarze nie na polu?
— Toć tera łobzad! Gorone!
— Jestem przedstawicielem lubelskiej firmy. Przyjmujemy zamówienia na obrazy i portrety. Ceny przystępne. O, tu mam legitymację, proszę bardzo, niech państwo zobaczą — zdjęcie, pieczęć. Nasza firma jest solidna, uczciwa. W terminie dwóch tygodni od przyjęcia zamówienia dostarczymy osobiste, własnym transportem, zamówione obrazy. Portrety w ciągu miesiąca, czarno-białe oraz kolorowe. Obrazy w kolorze jak żywe. Kolor w portrecie trochę droższy. Tylko zdjęcia muszą być dobre. Państwo macie portret ślubny? Nie macie, to proszę pokazać zdjęcie, obejrzymy. Tu mam lupę, przez nią wszystko widać.

— Panie, portret to my sobie już dawno zakazaliśmy. Pan tu nie pierwszy. Ciągłe chodzą, nawet gotowe portrety przynoszą. Portrety gotowe też przynoszą. Raz taki stary był, śnieg z deszczem, a on łaził, chyba chory. Spał u nas, a wypisł chciół... Cało noc kasłał. My portret zakazaliśmy u niego, trzysta złotych. Potem przyszedł przez pocztę. Odpakowaliśmy, a wcale nie podobny! Zobaczy pan sam, tu zisi. O! A namawiał! My fotkę słabo nieśli, a on się uparł i mózi, też z Lublina, że mają specjalne aparaty i zrobiło, że będzie dobrze. Cholera, łosukańce!

— Ma pan rację: lipa. U nas się robi szybko i solidnie. Rzeczywiście lipa. Możemy zrobić nowy? Jeśli nie będzie się podobał, to państwo nie przyjmiecie.

— Wszyscy tak mówią, a potem przysyłają przez pocztę. Było co takie. Pieniędzy skoda. Ciołek nie może poznać, co to je. Nic nie chcemy. Obrazów też tyle, nie ma gdzie znieść. Baby so salone: myślo, że do nieba pójdą... przez te łobrazy. — Za dużo, za dużo, wcale nie za dużo. Święte to święte, tego nigdy nie za dużo. Ło, jaki mundry. Idźta go, ło!

— Rzeczywiście macie państwo sporo obrazów, ale same małe. Duży by się przydał. O, taki „Pan Jezus w Ogrójcu” albo „Pan Jezus w łodzi”. Może „Ostatnia wieczerza”? Zobaczenie, państwo, jakie kolory, jak żywe! Ale to są tylko małe próbki. Duży, w naturalnej wielkości, będzie jeszcze ładniejszy! W kolorze, tylko w kolorze! Ramy do wyboru: złote, srebrne — solidne, gipsowe! Kosztują tyle samo, co politurowane. Bardzo tanie.

— Da spokój. Onegdaj chodził, dziś chodzi. Co dzień lazo, ładnie gadają, a potem, jak co do tego, to przyszło nie wiadomo co!

— Ło, łoćciec, ten duży może by tu poziesić, je miejsce. A ziele za taki duży?

— Jak od pani gospodyni, to pięćset złotych. Taniej niż w „Caritasie”. I nie musi teraz pani płacić zaliczki. Jak przywieziemy i nie będzie się podobało, to pani nie weźmie. Mówiłem, my firma stara, solidna, legitymację mamy ze zdjęciami. U nas oszustwa nie ma.

— Mówiłem, obrazów nam nie trzeba. Dosyć je. Tak. Cas pan traci.

— Zaraz, gospodarzu. Wie pan, gospodyni ma święte, a pan dla siebie nie ma. Mam coś i dla pana, bardzo ciekawego. Oto próbki, niech pan popatrzy. Nie święte, ale śliczne! Kobiety jak malowane. Teraz takie nawet w mieście kupują. Niedrogo; w dwóch wymiarach: mniejszy dwieście pięćdziesiąt, a większy pięćset. No, niech pan spojrzę. A, podoba się! Pewnie, śliczności! Proszę bardzo: „Sen panny młodej”, „Rusalka w łodzi”. Niezła rusalka, co? Fajna. Ma żona święte, to i pan może sobie kupić. Panie, co to jest dwieście złotych, no nie? Ale zobacz pan ten, akurat nad tapczan. Jak wieczorem pan spojrzę...

— Panie, jak pan się nie wstydzisz, taki młody! Ksiądz po kołendzie nie przyjdzie, chałupy nie poświęcił. Stary, co tak gąły wywalas? Stara cholera! Jak świętego nie, to tech bab tem bardziej! Ło Jezul łobrazu Boska!

— Bardzo panią przepraszam, przecież to nie takiego. Kobiety ubrane są na tych obrazach.

— Lubrane, lubrane, a cycki zidac! Grzech. Niech sobie idzie dalej. Z Bogiem.

— Cicho, matka. U Niksów też taki zakazali. Pokaz pan ten tu. Ło, z temy łaniolamy. Podobien do świętego. Ziele za ten?

— Mówiłem: duży pięćset, mniej-



szy dwieście pięćdziesiąt. Cena zależy od wielkości. Tak, te amorki wyglądają jak aniołki, a to może być odpoczywająca matka.

— Stary, choroba, ty łosie jeden! Co ty, zgłupsiał na stare lata?

— Jaki stary, dopiero siódmy krzyżyk. Wcale jak święte! Ładne. Zidziła, zazdrośnica. Na ciebie patrze tyle lat; co, ja gołej baby nie zidziła? A te tu lubrane!

— Zidziła, gdzie zidziła? Ja ci się nie pokazywała. Gdzie zidziła, no?

— Cisa. Pis pan te kwity! Podobne do świętego!

— Proszę bardzo! A gdzie tu kawalek stołu, żeby usiąść?

— Stary, skaranie boskie. Zgłupsiał! Co ty?

— Może? Cisa. Pis pan!

— Proszę. Jak pana godność? No, nazwisko, imię? Dobrze. Duży czy ten za dwieście pięćdziesiąt?

— Stary głupek! Pieniędzy ci nie dam.

— Toć nie trzeba tera dawać! Toć mógł ciołek, tak?

— Oczywiście, ale zaliczkę można. Może pan dać a konto... sto złotych?

— A najsampsiwer gadał, że nie trzeba. Tak okrenci, omani...

— Dobrze, może pan teraz nie płacić. Zapłaci przy odbiorze. Proszę tu podpisać.

— Nie pis, stary, bendzie brzydki, to bendzie mus brać.

— Nie mus, nie mus. Dobrze, tu-

dać. Zapisal?

— Zapisal, zapisal. Dziękuję bardzo! Tu wpisałem zaliczkę, żeby kto nie powiedział... Proszę podpisać. Nie tu! Niżej! Tak, dobrze. A nikt tu się we wsi nie żenił, co? Może by gdzie portret zamówili?

— A był. Jak panu wytłumaczyć? Wyjdzie, na lewo dzwerołko, czwarto dom po prawej stronie. Pod blachą. Bogate! Ale to wczoraj chodzili, taki, no, agent. Pewnie już zakazali.

— Jeszcze raz ślicznie dziękuję. Do widzenia państwu. Śmietana była bardzo smaczna. Dziękuję, do widzenia.

— Do zidzenia. Idźta z Bogiem.

— Dzień dobry. Ja, wie pani... Powiedzieli mi, że pani syn się żenił; zbieram zamówienia na portrety.

— Nie syn, tylko córka. Ale jech ni ma. Na polu, przy sianie. Wozu siano. Trzeba się spieszyć. Bedzie desc.

— A może pani ma ich zdjęcie? — Ło! Słubu nie majo, tera nie ma casu; jesse u fotografa. Zara. Ale cy z tech można? Łodrobzio?

— Oczywiście. Wianek dorobimy, bukiet ślubny; panu młodemu muhe, koniecznie w groszki. Taka teraz moda. Aby twarze były wyraźne.

— Naprawdę można dorobić?

— Można, można! Kolorowe czy czarno-białe?

— A ziele kosztuje. Kolorowy pewnie droższy, co?

Śliczności

taj. Bardzo ładny ma pan charakter pisma.

— Panie, chodziłem do szkoły do Mysiańca; dzie klasy. Cytać też uniem!

— To widać, przedwojenne szkoły lepsze były.

— Panie, jesse carskie. Za cara chodziłem.

— Kupił se stary, cholera, rospustnik. Ja też cheł! „Serce goręjonec”. Józefka ma, to ja też!

— Oczywiście, pani gospodyni, nawet w cierniowej koronie. O, te będą w sam raz. Po sto osiemdziesiąt złotych za jeden...

— Łopusci troskę! Po sto pięćdziesiąt...

— Nie mogę, kochana. Ceny stałe. Jak opuszcze, to mniej zarobię. Ze swojego będę musiał dolożyć.

— No to co, i tak zarobisz. Ten dla starego to nie wart i sto złotych. Łopusci, kupsiulabym dwa.

— Bardzo mi przykro, nie mogę opuścić... No, dobrze, moja strata niech będzie. Już piszę zamówienie. Może pani dać się wody napić? Nałaziłem się, gorąco jak diabli!

— Zara przyniosę śmietany, niech pise; a może głodny, co?

— Nie... dziękuję, tylko pić... Niech się pani nie fatyguje, po co? Co najwyżej mleka... Dobra śmietana? Nie ma to jak swoja.

— Pewnie ze dobra, w nieście takiej nie ma; w zlewni chrzco, w mleczarni też sama woda. Raz w nieście byłam z jajkami, zaslam do baru i piłam mleko, a potem tak mnie gonilo...

— Sracki dostała, ha ha ha, stara, ha ha! Milka jej sie niastowego zachciało. Jakby swojego nie niala.

— Może jednak wpłaci pani parę groszy zaliczki? Wie pani, dopiero środa, a wypłata w sobotę.

— To zapisać sto złotych, mogę

— Droższy, ale tylko o sześćdziesiąt złotych. Czarno-biały trzysta, w kolorze trzysta sześćdziesiąt. To jak, piszemy?

— Niech będzie kolorowy. Nie bede sie spierać. Bedzie niespodzianka! A pocztę przyjdzie?

— Możemy wysłać pocztą, oczywiście. Wpłaca pani dwieście złotych zaliczki.

— Tyle to nie; dam sto.

— Nie, proszę dwieście!

— A będzie chociaż ładny?

— Oczywiście. Nasza firma jest solidna — lubelska! Kofory najwyższej jakości, farby zagraniczne! Tu proszę podpisać. Dziękuję. Do widzenia.

— Dzień dobry... Jest tu kto? Jest tu... O, nieźle się powodzi, o tej porze w łózku!

— Wie pan, no, żona chora...

— Rozumiem. Pewnie nowożeńcy? Co pani się tak chowa? Niech się pani nie wstydzisz. Jeśli nowożeńcy, to może portrecik państwo sobie... Przyjmuję zamówienia.

— Tak, portrecik. To znaczy: nie. My, wie pan, portret już mamy. My tu właściwie tylko na wakacjach. Przyjechalismy pomagać.

— Ładnie pomagacie. Nie za gorąco pod tą pierzyną? Może jednak portrecik. Niedrogo: trzysta złotych.

— Dziękujemy bardzo.

— A może obraz dla dziadków, co? No, niech się pani nie wstydzisz, wszystko dla ludzi. Normalna sprawa. Zamówcie obraz, tu są wzorki. Oczywiście, w ramach będzie wyglądał inaczej. O wiele ładniej!

— Nie, dziękujemy.

— Weź, no, weź szybko! Idzie pan do drugiego pokoju!

— To który piszemy?

— Ale pan nachalny. Niech be-

dzie ten, tylko szybko! Ile płacę?
— Pięćset złotych jak od pana. Nie musi pan teraz płacić wszystkiego.

— Płacę od razu. Wyślij pan pocztą! Albo nie wysyłaj. Gdzie podpisać? Do widzenia panu!

— Panie, weź pan tego psa! Uciekaj! Co za cholera!

— A pudzies! Won! A pudzies, do budy! Bo jek cie walne to lago! Won! Skaranie boskie.

— Dzień dobry. Młodzi w domu?

— Ni ma. Za rzeko, lu siana! A po co młode?

— Zbieram zamówienia na portrety, święte obrazy. Tu, w teczce, mam wzory.

— A bo ja ziem? Zeby młodzi byli, może by zakazali?

— A pan nie może? Przecież pan gospodarz!

— Jaki ja gospodarz, panie? Siły ni ma! Siedze, chałupy psilnuje. Stary ja, mnie już niedługo. A pudzies! Mówiłem: do budy! Won! Jaki choroba! Won! Cicho! Może by zakazali? Siadać, tu, na ławecce.

— Gorone taki, a ten seeka i seeka. A pudzies! Zara cie walne! Won, do budy! Siedze, gnaty grzeje. A pan też w taki gorone łazi. Uwaulby sie na smugu, polezał.

— Tak, polezałoby się. Ale trzeba pracować! Usiąde. Zapalimy?

— Nie pale, łufki ni mam. Ale casami zapale. Sam z daleka?

— Nie, z Łomży.

— A, z Łomży. Dawniej jeździłim na jarmarki do Łomży. Rodem z Łomży?

— Tak. Nieźle chyba młodym się wiedzie? Samochód stoi.

— Samochód to nie jech, to letników. Łońskiego roku byli. Łatoś też przyjechali.

— Bo tu bardzo ładnie.

— Ładnie może pan? Kiedyś było ładnie. Bor był zielki, panientam, jakim był dzieciakiem. Ziezyna różna. Tera ni ma. Panie, galaki takie ze trzech chłopca musiało obejmować. A świerki! Tera chojaki liche i ni ma. Tak. Tylko niejskami so.

— Ale jeszcze stary las można zobaczyć. Widziałem takie sosny stare.

— Ło, to resta. Co Nieniec nie zabrał, to nase tera tno! Niedługo i tego nie będzie!

— Może pohandlujemy, dziadku!

— Nie, panie, ja tu nie zondze, a młodech ni ma. Mnie to już niepotrzebne. Bliziej jak dalej! Poceka, młode przyjadą, to może kupio.

— Ale majo w tem nowem domu łobrazy, i portrety majo. Niech poceka. A co, spieszy się? Ja sie cale życie spiesyl i co? Tera to by chcial pomalu. Warto się spieszyć?

— Zawsze zdony. Tylko co jech nie zidać. Cały dzień tak sam siedze. Ani do kogo gemby otworzyć. Dobrze tak z kim pogadać. Młode jek so, to też ze mną nie gadają.

— Bo o cem ze starym? Ja juz na dozywociu! Wnuckow ni ma. Przyjechali ze skoly i pojechali na łoboz.

— Może obejrzy pan te obrazki?

— Małe, niedowidze. Łocy juz słabe. Nie to, co kiedyś. A łopłaci się tak łazić?

— Oplaci, oplaci, można zarobić nawet tysiąc dziennie, ale coraz gorzej.

— Tak, toć ciągle chłodno. Onegdaj chodziłem z portretami, i makatki miał, takie nad łozko. Pogadał, posed dalej. Ni ma komu kupać: stare majo, a młodem skoda pienieędzy. Moja baba nieboscka, Panie świeć nad jej duso, chodniki robiła na warstacie, takie ze starech śmat, i przedawała po wioskach albo na jarmarkach: w Łomży, Mysiańcu, Łostrolence.

— Jedna taka z Warszawy przyjechała i kupowała, ile baby narobiły. Dużo bab robiło kiedyś różne rzeczy na warstatach. Ten warstat to ło, na dostata od swojej matki. Ale młode jek się przeprowadzili do nowego, to go wyrzucili, bo mógł miejsce zajma. Jesse dobry był. Ale tera nie robzio. Nie umiej! Ło, musi moje jado, bo pies poleciał. A letników jesse ni ma.

— To ja już pójdę. Do widzenia!

— Idzie? Pocekać. Może co kupio? Co na noc będzie łaz? Zwało siano, zrobio jess. Przespł sie, a rano pójdzie dalej. Pocekać, letniki samochodem odziozo do Nowogroda. Dobrze łudzie. Juz drugi raz u nas so.

— Dziękuję, do widzenia.

— Ale sie spiesy. Do zidzenia!

JANUSZ PORĘBSKI

obyczaje



ZANIM SIĘ SKOŃCZY
XX WIEK

W średniowieczu, nie mówiąc o starożytności, połykali ludzkie — w charakterze leków — różne paskudztwa i trucizny. Aż dziw, że się tym cała ludzkość nie wytruliła. Przeżywali tylko najodporniejsi zarówno na choroby, jak i na „leki”.

Uznawanie owych paskudztw za leki nie było czymś dowolnym i przypadkowym; przeciwnie, miało bardzo mocne uzasadnienie. Ponieważ każdy organ ludzkiego ciała był przypisany jakiejś planecie — podawano pacjentowi lek sporządzony ze zwierzęcia lub minerału również owej planecie podporządkowanemu. Nie wyśmiewajmy się jednak ze swolich przodków-ciemiaków, skoro dziś w Europie (Polski nie wyłączając) istnieją apteki leków homeopatycznych. A homeopatia czy allopatia to przecież teorie terapeutyczne, zasadzające się na stosowaniu leków powodujących objawy identyczne jak choroba, bądź przeciwnie...

Ale mniejsza o to. Ważne jest, że już w starożytności, wskutek leczenia na takich właśnie zasadach, w ludzkich umysłach utwierdziła się świadomość, że na każdą chorobę istnieje skuteczny lek: rzecz tylko w tym, aby go znaleźć i właściwie dobrać.

W drugiej połowie zeszłego stulecia odrzucono przesady i jako leki zaczęto stosować tylko takie substancje, których działanie wypróbo-

wano najpierw na zwierzętach, a potem sprawdzono w praktyce klinicznej; zatem kiedy zalecaniem leków zaczęły rządzić nie pseudonaukowe teorie, tylko względy racjonalne — przeświadczenie, że na każdą chorobę można znaleźć lek, nie tylko nie upadło, lecz przeciwnie, ugruntowało się, uzyskując naukowe poparcie. U schyłku XX wieku ogromna większość ludzi w krajach rozwiniętych sądzi, że przy pomocy odpowiedniego leku można skorygować każde odchylenie organizmu od normy zdrowia, a istnienie cho-

Reklama handlowa dostarcza wiedzy zwłaszcza o lekach nowych. Nowych — znaczy nowoczesnych, a więc takich, które zostały opracowane na podstawie wyników najnowszych badań. No i w rezultacie dochodzi do takiej tragedii, jak rodzenie kalekich dzieci po thalidomidzie, który radykalnie pomagał na ciążowe nudności.

Jeśli jednak afery tego rodzaju skłaniają ludzi do zastanowienia się, zanim sięgną po nowy lek, to przecież lek tym bardziej godny jest zaufania, im jest starszy i pow-

ostrożnie
z aspiryną

rób nieuleczalnych świadczy jedynie o tym, że jeszcze nie znaleziono na nie lekarstwa.

Przy poważniejszych odchyleniach od normy pacjent liczy na dobór lekarstw przez lekarza (niestety, wielu lekarzy nie zachowuje umiaru w szafowaniu lekami), zaś w przypadkach błażych ordynuje sobie lek sam. No bo przecież każdy wie, co łyknąć na uspokojenie, co na zwalczanie senności, co na ból głowy itp. A wiedzę o tym zdobywa przede wszystkim z reklam, bo produkcja leków sprzedawanych bez recepty przynosi wielu firmom farmaceutycznym kolosalne zyski.

szecniej używany. Na przykład aspiryna.

O, właśnie. Oczywiście, wiadomo, że przy nadużyciu niewinna aspiryna może zrujnować system trawienia. Ale używana od czasu do czasu, gdyśmy się podziębili, mamy dreszcze i ból głowy...

Niedawno na Światowym Kongresie Pediatryczno-Kardiologicznym w Londynie kanadyjski lekarz, dr Richard Rowe, dyrektor Szpitala Chorób Dziecięcych w Toronto, zreferował wyniki swoich badań dowodzące, że aspiryna zażywana przez kobiety w ciąży powoduje u płodu pogrubienie ścianek naczyń

krwionośnych w płucach. Wskutek tego rodzą się „błękitne dzieci” (właściwszy byłby tu przymiotnik „sine”), cierpiące na niedostatek tlenku we krwi.

Zależność odkryta przez dr. Rowe'a stanowi kolejne potwierdzenie prawdy, która od dawna znana jest nowoczesnej medycynie, ale jakoś nie może się przebić do świadomości pacjentów, a nawet niektórych lekarzy. Prawda, że każdy lek oddziałuje na organizm człowieka nie tylko w tym kierunku, w jakim chcemy, lecz również w innym lub wielu kierunkach. Dosadniej mówiąc: każdy lek jest trucizną, którą posługiwać się można i trzeba tylko wedle zasady mnijszego zła, to znaczy — sięgać po lek wtedy, kiedy jego zastosowanie przyniesie organizmowi więcej korzyści niż szkód.

Warto dodać, że u schyłku XX wieku medycyna przeżywa swoisty kryzys wiary w farmaceutyczne chemikalia, o których często trudno orzec, czy bardziej pomagają, czy szkodzą. A jednocześnie zaczyna się przypisywać coraz większe znaczenie terapeutyczne rozsądnemu trybowi życia, właściwej diecie i — zwłaszcza w przypadkach chorób przewlekłych — prastarym, ale najbardziej naturalnym lekom ziołowym. Bo chociaż wśród ziół nie brak trujących — nawet od najobfitszego smarowania się gencjaną kobieta „błękitnego dziecka” nie urodzi.

ZBIGNIEW SIEDLECKI

poufny dziennik
bez dat

Następnego dnia ranniem złożyliśmy wizytę w Wojewódzkim Wydziale Kultury. Mieściliśmy na parterze budynku zajmowanego przez szkołę muzyczną. Okna wszędzie zakratowane. Kultura pod ścisłą opieką albo może w izolacji? Henryk, na nasz widok, szybko dokończył rozmowę telefoniczną. Uściski. Kawka. A potem opowieść o tym, co w mieście zrobiono, co się tworzyło, jakie zamierzenia miały władze na najbliższą przyszłość. Słowa płynęły gładko i łagodnie laskotały narządy słuchowe.

W pewnym momencie przerwał i spytał: — Dlaczego nie napisałeś wprost do mnie, tylko do wojewody?

Byłem zaskoczony. Nastąpił kłopotliwe milczenie.

— Spotykaliśmy się przecież w stolicy i nigdy nie wspominałeś o takiej możliwości.

— No, wiesz — odpowiedział — my tu potrzebujemy ludzi, którzy potrafią zakasać rękawy. Jest wiele do zrobienia. Nie sądziłem, że z twoim zdrowiem będziesz miał siły i ochotę do takiej roboty.

Zrobiło mi się przykro i głupio. Musiał dostrzec jakiś grymas na mojej twarzy, bo zaraz dodał: — Wiem, wiele potrafisz, więc dobrze, że jesteś. Przystąpmy do załatwienia sprawy, a później jeszcze pogadamy.

Poszły w ruch telefony. Na stoliku pojawił się plik papierów: podanie o pożyczkę, mieszkanie, przyjęcie do pracy itd. Henryk zadbał o

to, żeby wszystko załatwić szybko. Czasu było niewiele: czekała nas jeszcze wizyta u wicewojewody Kazimierza Czapki.

Dużo podróżowałem po kraju, nauczyłem się słuchać i patrzeć. Wiedziałem, że sprawy kultury w nowo powstałych województwach były traktowane poważnie i z rozmachem. Niektóre z nich startowały z obłędnie wysokiego pułapu, co nie zawsze szło w parze z zapotrzebowaniami i możliwościami. Sprawdzano się porządkowo, że jaka władza danego miasta czy województwa, taka i jego kultura. Wiadomo, jak może wyglądać pod względem kulturalnym miasto, którego prezydent interesujący wyłącznie znaczki pocztowe lub programy telewizyjne.

W mieście — myślałem — do którego zaprasza się literatów, daje im się szybko mieszkania, tak jak specjalistom, musi administrować kulturą ktoś, kto prywatnie odczuwa ogromne potrzeby kulturalne i pragnie je zaspokoić choćby przez kontakty z ludźmi pióra, mimo że ci potrafią nieraz przysporzyć więcej kłopotów niż korzyści.

W małym sekretariacie panował tłok. Czekaliśmy i spoglądaliśmy po obcych twarzach, rozbieganych oczach.

2.

Od kilku dni czytam „Dzienniki poufne” Benjamina Constanta. Przystępując do pisania moich notatek nie przypuszczałem ani przez chwilkę,

że na rynku księgarskim pojawi się znalezisko o podobnym tytule. Wiele znakomitości publikowało swoje dzienniki: nie sposób byłoby tu przytoczyć ich pełnej listy. Tytuły nadawali im różnie, różną wypełniali treścią, ale posłanie miało sens ten sam: utrwalenie czasu, w którym się żyje; ratowanie od zapomnienia rzeczy na pozór tylko nieistotnych.

Niewiele jednak publikowało swe dzienniki za życia lub na bieżąco, z tygodnia na tydzień. W naszym kraju robi to np. w „Literaturze” Jerzy Andrzejewski.

Wracam do „Dzienników poufnych” Constanta: zastanawiam się, co by się stało, gdybym (a chce mi się nieraz, oj, chce) tak złośliwie i krytycznie, jak on, określił sylwetki znajomych. O jednej ze swoich przyjaciółek Constant napisał następująco: „Tak zwana kobieta inteligentna to ruch nie mający celu. Jest całkowicie tworem społecznym, a więc sztucznym. Pół biedy, jak długo to jako wygląda”. Zaś znakomitego filozofa niemieckiego, Schellinga, tak charakteryzuje: „Nie lubiłem jego dzieł ani kierunku, ale jeszcze mniej podoba mi się jego osoba. Zaden człowiek nie zrobił na mnie tak nieprzyjemnego wrażenia. Jest to mały jegomość z zadartym nosem, oko uważne, ostre i żywe, uśmiech gorzki, głos oschły: mówi mało, słucha z uwagą zgola niepochlebną, która raczej przypomina nieżyczliwość; w charakterze widoczna aktywna złośliwość, wmyślenie jest połączeniem pyszałkowatości francuskiej z metafizyką niemiecką”.

Mnóstwo w tej książce trafnych spostrzeżeń i urokliwych sentencji. Żadnego pobłażania dla siebie ani dla innych. Może właśnie na tym polega istota i wartość każdego dziennika, a tym bardziej dziennika, który ma posiadać znamiona zapisków poufnych.

JAN KULKA

ZIELE ANGIELSKIE

wyliczanki
rymowanki...

„Nursery rhymes, tongue-twisters...” — te angielskie słowa nie mają odpowiedników w języku polskim. Wiersze najczęściej anonimowe, krótkie a żartobliwe, śmieszne czy nonsensowne, reprezentujące szczyty sensu, co potocznie nazywamy angielskim humorem. Są różne. W „nursery rhymes” mamy kalambury, humor czysto słowny, wzbogacony o dowcipne użycie stereotypu czy komizm sytuacyjny. I chociaż „nursery rhymes” to dosłownie „wiersze z pokoju dzieciennego” — są one lubiane, cytowane, naśladowane głównie przez dorosłych. „Tongue-twisters” (dosłownie: „wiersze łamiące język”) to już tylko humor słowny. Oczywiście, „łamacze języka” występują na całym świecie. U nas przedstawicielem tego gatunku byłby słynny: „W Szczepreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”. Ale w żadnym folklorze nie ma tytułu „łamaczy”, co w angielskim.

„Wiersze pokoju dzieciennego”, „łamacze języka” i limeriki (podobno pochodzące z hrabstwa Limerick w południowo-zachodniej Irlandii) w kulturze krajów anglosaskich odgrywają szczególną rolę. Obok Biblii są najczęstszymi źródłami cytowań, aluzji, powiedzonek. Zaraz, zaraz... który z angielskich polityków nazwał swoich przeciwników „medcami z Gotham”? (Cyt.: „głupkami”). Czy nie Churchill?

Przekład tego typu wierszy to zadanie karkołomne. Jednak niekiedy wykonalne. Świadczą o tym dokonania radzieckiego tłumacza, Samuela Marszaka, czy naszego satyryka — Antoniego Marianowicza. A więc poprzeczka ustawiona jest tak wysoko, że nie bez obaw prezentuję pierwsze „wierszyki z pokoju dzieciennego”.

TRZEJ MĘDRCY Z GOTHAM

Trzej... na morze, oczywiście,
Z Gotham wypłynęli w misce.
Opowieść by dłużej trwała,
Gdyby miska była cała.

LIMERYK

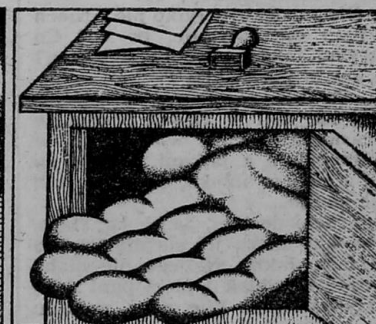
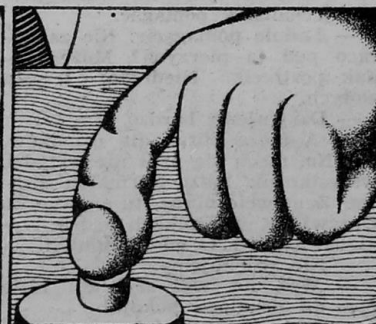
Zył kiedyś brodaczy stary
Pelen obaw, bo się sprawdzały.
Rzekł raz: „Już czas postrzyżym,
Bo dwie sowy, skowronek, strzyżyna
na mej brodzie gniazdo zbudowały”.

DZIEWCZYŃKA

Dziewczynko, dziewczynko,
utrapiiony bąku,
Powiedz, gdzieś ty była?
— U babci nad łaką.
Co ci babcia dała?
— Mleka szklankę całą.
A ty co zrobiłaś?
— Dziękując, wypita.

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

Rysunek Mieczysława Bukowczyka





— Nie mogła daleko odejść — pociągali się klienci pod sklepem w Wiźnie w dniu 5 sierpnia br., spoglądając na szpagat, którym ekspedientka przewiązała zasuniętą kratę.

Soltyś Chłudni musi po zaprenumerowane „Kontakty” jeździć do Urzędu Gminy w Małym Płocku, a że nie może być tam często — numery odbiera hurtem. Jeszcze oszczędniej można by ustalić zasadę kolportażu prasy: niech prenumeratorzy odbierają ją prosto z drukarni!

Urząd Stanu Cywilnego w Elku wprowadził dla przyszłych (ewentualnych) małżonków specjalny system ćwiczeń woli. Na dopełnienie formalności czeka się miesiąc i jeden — cały — dzień; pod drzwiami. Kto go przetrzyma i nie zmienia decyzji, z pewnością doczeka w stadle brylantowych godów.

Na tablicy pamiątkowej w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Łomży widnieje przedziwny wizerunek Kościuszki: z wyraźnym przekrzywionym nosem. Oj, nie byłby wódz zadowolony z artysty, który dokonał na nim tak fatalnej operacji plastycznej.

W Zambrowie przy ulicy Grunwaldzkiej zlikwidowano dwa sklepy z obuwiem; przyczyna: wadliwa instalacja elektryczna. Umieszczono tam magazyny WPHW polecamy szczególnie pieczy straży pożarnej.

Nową kompozycję towarów w sprzedaży związanej stosuje sklep gospodarstwa domowego w Drozdowie: do kilograma gwoździ ekspedientka dorzuca słabo idące naczynia tej samej wartości, które jednak nie mogą posłużyć jako praktyczny pojemnik na gwoździe.

W „centralnym” parku w Nowogrodzie stoją odrapane plansze informacyjne, uniemożliwiające turystom poznanie topografii i historii miasta. Czyżby o to chodziło?

Trzy lata temu prasa informowała o wprowadzeniu się naukowców ze Zbójnej do nowo wybudowanego Domu Nauczyciela. Wzmiankowany Dom zostanie oddany do użytku (przy odrobinie szczęścia tej gminy do limitów, materiałów i wykonawców) we wrześniu br.

Gmina Szepietowo szokuje turystów fenomenem w postaci okrągłych wsi, do których odległość z każdej drogi wynosi 0,1 kilometra.

W barze „Uniwersalnym” w Czyżewie selekcjonuje gości i wręcza im klucz do wc — kelnerka. Nie znamy kryteriów, ale z pewnością nie chodzi o pośpiech w załatwieniu potrzeby.

— Nie mamy taboru sprawnego — powiedział mi dyspozytor PKS-u w Łomży — brakuje nam baterii, opon itd., a bez tego autobusy nie wyjadą na trasę. — Wypowiedz tę adresujemy do instytucji, które zatrudniają pracowników dojeżdżających PKS-em nr 5 (Poniaty-Czaplice) tytułem usprawiedliwienia za obecność w pracy w tzw. kratce.

starzy ludzie z honorem

Zakładu już nie ma. Założyli tam hodowlę baranów, ludzi wzięli do miasta, dali im mieszkania, robotę, a Holendry chyba niedługo na to samo przyjdą — Słowa starej kobiety w czerni są beznamietne, suche; stwierdza tylko fakty, swoje, jakie wyplakala, teraz nie musi się zdradzać z emocjami przed obcym. Stoi oparta o framugę drzwi, ręce założyła do tyłu, i ciągnie dalej tym samym, bezbarwnym głosem: — Ludziska jedni pola oddali za rentę, inni sprzedali spółdzielni, a z młodzieży nie chce nikt zostać. Wszyscy odchodzą, bo co to za miejsce do życia. Do gminy dziewięć kilometrów, do Chmielnika szesnaście. Taki kątek zagubiony w tym lesie.

Kiedy mówi o kątku zagubionym w lesie, jej głos nabiera barwy i ciepła; uśmiecha się nieznacznie, wskazując ruchem głowy to, co widać wokół. Ten cień uśmiechu burzy na chwilę geometrię jej zmarszczek i rozjaśnia jak gdyby, na okamgnienie, upiorną urodę — niegdyś dość dostatniej — ulicówki z osiemnastoma numerami.

Wiele zimny wiatr, deszcz; wzdłuż błotnistej drogi domy, stodół, obory — w większości drewniane. Murowane są dwa. Ludzi nie widać, psy nie poszczekują, nie przekazują sobie nazwajem obcego od opłotka

nieznane i niepewne, bo nie do pracy, ale na miejską dożywkę.

Z wiejskiego sklepiku, otwieranego wtedy, gdy trafi się klient, wychodzi młody człowiek. Pracuje w spółdzielni, a rozwiązanie problemu brakujących na miejscu rąk do pracy widzi ironicznie — w przywozie ludzi z miasta. Co będzie dalej? Plan ma taki: jak się w spółdzielni ułoży, zostanie; jak nie — poszuka czegoś gdzie indziej. Dzieci ma małe, na razie dowożą je do szkoły, ale w przyszłości? Młody jest, robotny, a świat dla takich otworem. Nie ma czasu i chęci na pogawędkę; odchodzi.

To, co miało być pewnie w przyszłości werandą, pełni teraz rolę całego domostwa. Trochę materiałów budowlanych w kącie podwórza. Gospodarz, na oko, jeszcze w sile wieku, choć sam mówi, że już „po kopie”. — A po kopie, to po chłopie — dodaje żona, nieco młodsza i energiczniejsza. Chcieli stawiać nowe budynki, ale dla kogo? Dzieci w mieście. Na razie dorabiają nieco w spółdzielni; trochę w polu, trochę przy obrządku. Do roboty na swoim nie mają już serca — podmokły teren, dziki niszczący uprawy. Po co w tych Holendrach jeszcze ludzie siedzą? W spółdzielni przyjmują każdego,



do opłotka. Czasami rozlega się pianie koguta, pozostawione bez odzewu rywała z sąsiedniego podwórka. Wiatr podnosi kępki słomy z dachów, głucho dudnią podzucane jego porywami fragmenty jakichś blach, płatów jaskrawopomarańczowego eternitu, które miały uszczelniać poszycia. Powiewają strzępy foliowych worków po nawozach, układając się w przedziwne kształty. Widać, że wcześniej już nie opłacało się z jakiegos powodu solidniej reperować strzech i gontów. Żywy — ludzki i zwierzęcy — ruch wsi, każdego obejścia, został zamieniony, jakby w surrealistycznej sztuce, w mechaniczny, martwy ruch dekoracji, żyjących wola hulaącego wiatru.

Stara kobieta cofa się w głąb sieni, a reporter mimowolnie tuli głowę w kołnier.

— A wyście tyle lat tu żyli? — Tu jest nie życie — ciągnie dalej, a głos ma znowu matowy. — To było dawniej, nie się nie wiedziało, nie się nie widziało i każdy myślał, że tak jest dobrze. Dziś młodzi idą do szkoły, widzą, że świat stoi inaczej, i nie chcą tu być.

— Ale mogli wrócić i trochę go zmienić.

— Ee, panie, co tu kto zmienić! Ot, spółdzielnia buduje, orze, sieje i nic nie zbiera, bo tu wszystko podmokłe. Jeszcze jak gospodarze orały — ożywia się — na takie wyższe zagonki, to się coś rodziło, ale teraz to ja nie wiem, co oni wygospodarzą. Sama bida i starzy ludzie. Tak... dwóch gospodarzy, można powiedzieć, jest we wsi, a reszta to tacy jak ja.

Stara kobieta w czerni nie płacze; swoje wyplakala pewnie wcześniej. Za kilka dni pójdzie do syna, do sąsiedniej wsi, będzie bawić wnuki, będzie robić to samo, co tu. Wiele w jej życiu się nie zmieni, nawet pejzaż, i dlatego nie płacze. Wie, co będzie dalej.

Jej sąsiadów już nie ma, nikt nie pilnuje ich obejść. Poszli do miasta, do córki i synów; do miasta w

kto chce i może jeszcze pracować; spółdzielnia potrzebuje ludzi. Jak się z polą nie urobi renty, to choć trochę w spółdzielni, żeby nie patrzeć na dzieci i mieć coś swego. I tak się żyje. Dzieci obiecują, że zabiorą do siebie; to cieszy i podtrzymuje na duchu, ale póki co — nie pójdą. On tu urodzony. O, w tym domu naprzeciwko, ona z sąsiedniej wsi. I tak od razu do miasta?

— Zal będzie odchodzić? — A fabrykę oddawaliśmy z chęcią? Nie. No, dzisiaj to zadowoleni, bo mają dobrze, ale wtedy? A Władek z chęcią szedł albo Skuza stary?

Rozmowa kołuje: to schodzi na sąsiadów, którzy odeszli, to na dziki i odszkodowania. — Jak wymrą bądź wyjadą ci starzy, będzie po Holendrach — brzmi ostatecznie konkluzja. Chociażby tak jak Dziadek „Dziadek” — czy usłyszysz to słowo od wnuków? On, niegdyś pierwszy we wsi gospodarz, zamilowany w roli i hodowli.

— Mam siedemdziesiąt lat, gospodarke odpisałem synowi. Syna ni ma i poszła gospodarka w marnie.

Przysiada, skulony, na brzegu wozu. Ten wóz i koń — młody, narwany kasztan — to jego jedyna własność.

— Budowałem się, nowy dom, stajnię, wszystko. I muszę stąd wyjść. Teraz ni mom nic. Syn nie żyje... Som sobie śmierć zrobił.

— Gdzie pan pójdzie?

— A tak, do ludzi, szukać roboty. Renty nie dostanę, bo z czego. Nie wymówiłem se ani dożywkę, ani nic. Ciężko mi, a byłem taki zamilowany gospodarz... Mom córke w mieście, wzięłaby mnie, ale ja w mieście nie bede! A poza tym może mi powiedzieć tak: dalek synowi wszystko, a mnie nic, i teraz do mnie przychodzisz? Z tego powodu nie pójdę. I tak na marnem losie człowiek...

Długo przeżuwa w myślach następne zdanie: — Była ładna gospodarka. Odpisałem synowi osiem hektarów i czterdzieści ctery ary, konie spore, bydło... Dziś nie mom nic: ani nie sieje, ani nie robię. Jakby syn żył, to co by mnie było? Nicej by mi nie było brak. Robili my razem, on i ja... jedna ręka.

Zamilkł, sąsiedzi wiedzą, co gryzie starego. Uzupełniają monolog: — chlewnia stoi taka, że można by hodować a hodować, zaś synowa sprzedaje wszystko po kolei. Powiada: „To wszystko moje, trupie stary, ni mosz nic, wynos się i już!”

— Na czyjąś pomoc nie pójdę. Wolałbym z głodu umrzeć, a ręki nie wystawię. Na państwowo robotę mnie nie przyjmą, a tak po chałupach, żeby mi dał ktoś jeść, to bede chodził, bo innego wyjścia nie ma. Córce żem majątku nie dał, to do niej nie moze iść. Hunor mi nie pozwała!

— I tak po obcych ludziach się tułać?

— Ano trudno, jak mi się trafi... trudno...

Dziadek zacina swojego kasztana, jedyną swoją własność, i odjeżdża. Skulony, zmoknięty, sam — z honorem. To słowo zabrzmiało tak mocno i ostro, godnie. Stary człowiek z honorem! Zawstydzili nas wszystkich. Wszyscy poculiśmy się winni, choć ty winnego nie szukasz; znalazłeś go w sobie. Który z wnuków powie do ciebie „dziadku”?

Ludzie mają tu dla siebie wiele serca, współczują sobie wzajemnie, bo podobne są ich widoki na przyszłość. Często, gdzieś tam w mieście, jest ów syn czy córka. Zawsze to łatwiej żyć nadzieją, że gdzieś tam, nawet daleko, jest ktoś, kto w końcu weźmie i przygarnie na starość. A póki co, użalają się nad Dziadkiem i własnym losem. Dziś, mokradła, ile można w polu „skuczyć jak pies”, żeby kartofle uchronić? Dla młodzieży, nielicznych — jest spółdzielnia. Grosza można trochę dorobić i jeszcze uzyskać trochę ze swojego. Jak spółdzielniarne kartofle dziki zryją, to człowiek wiele na tym nie traci. A że do „kopy” daleko, siły do roboty ma, to i wie, że nie zgini.

Reporter idzie dalej przez wieś Holendry, niegdyś z osiemnastoma numerami. Numerów dziś też osiemnaście. A gospodarzy? Dwóch, jeden... Dzieci w mieście pożenione. Na gospodarce on z żoną. W tym gospodarstwie pieje kogut i szczeka pies — na znak, że ktoś tu jest, że trwa, że żyje i pracuje. Mają parę koni, trzy krowy i jakoś się pcha, ale co będzie dalej? Dokąd zdrowie służy, to jakoś będzie, a jak przestanie — trzeba będzie pójść na rentę.

— I zostać tu czy pójść do dzieci?

— Lepiej tu, bo jak tu u dzieci: dokąd pieniądze będą, to i dobrze będzie, a później? Czytam gazety, to widzę, jak się skarżą ojcie i dzieci. U moich są już wnuczki, to gdzie tam miejsce dla starych? Skąd chleb będzie, to ja nie wiem. Jestem już w latach, to tego nie doczekam, ale ci młodzi na grzybki będą chodzili czy co? Można przez miesiąc, dwa, a żyć trzeba bez przerwy. Co będzie dalej?

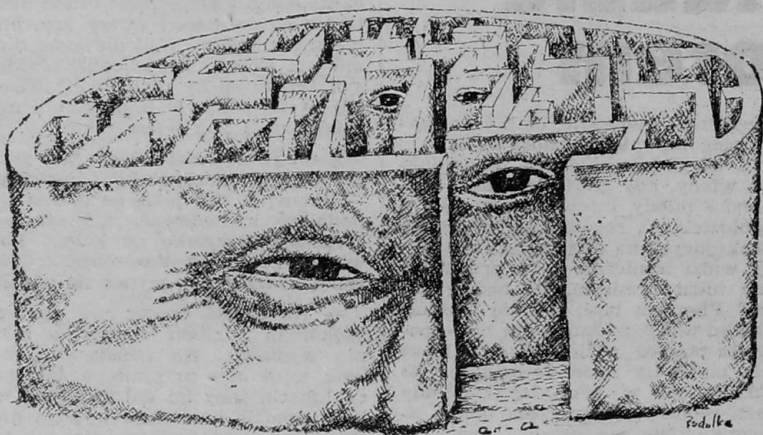
Starzy ludzie z Holendrow nie mają pretensji do opatrności i doczesnej władzy. Odpowiedź na pytanie „Co będzie dalej?” — znają, ale chowają w sobie, bo odpowiedź na nie dziś to poddanie się, bezbronne uniesienie rąk od zaraz. Ich życia nie może już zmienić ani córka w mieście, ani renta na wsi. Ich program na życie był inny — nie przewidywał samotności w zagrodzie; był taki, jak ojców, dziadków i pradziadków. Rozpadł się, i na pytanie „Co będzie dalej?” — nie chcą odpowiadać.

Hula wiatr po Holendrach, roznosi strzechy i gonty. Przycupnęli w chałupach starzy ludzie z honorem i żyją szczęścia swoim dzieciom w mieście.

(Radiowa wersja tego reportażu została nadana w programie I PR.)

ANDRZEJ MACKOWSKI





Niedawne powódzie rzuciły mnie na południe kraju. W ciągu trzech tygodni nie padało przez trzy dni. Po mieście Krośnice płynęły wody bardzo głośne i jeździły radiowozy bardzo głośne. Celem głośników byli mieszkańcy domostw położonych nad rzeczką Lubatówką, dopływem Wisłoka; głośniły one, że rzeczka winna była przybrać jeden metr i dać sobie spokój z zatapianiem. Krnąbrna rzeczka narobiła jednak paniki większej niż pszczoły z „Roju” w kinie „Pionier”, zalany podczas seansu. O dziewiątej wieczorem przybrała metr, ale o jedenastej już trzy metry, a o pierwszej w nocy czterometrowa fala przelała się przez wały, topiąc domy, pocztę, aptekę, kino i co napotkała. Ci z mieszkańców, których życie nie nauczyło jeszcze czytania między wierszami (słowem — nieprzystosowani), poszli spać i budzili się na swoich tapczanach pod sufity mieszkań.

modlitwa dziewicy

Byłem świadkiem rozmowy pewnego człowieka z kierownikiem apteki. Ten pierwszy, uświadomiony (miał przeciek z zamkniętego posiedzenia komitetu powodziowego, że pójdzie fala czterometrowa), błagał kierownika o przeniesienie leków na piętro, rękami młodzieży. Kierownik apteki nie wierzył w przeciek i roztopił w wodach pastylek na pięć milionów.

Przed laty Krosno, w odróżnieniu od Łomży, odsunęło swą rzekę spod murów miasta. Dzięki zabudowanej zabytkami skarpię starego miasta i Wistokowi, opływającemu tę skarpię, miasto nazywane było drugim Krakowem. Teraz opasuje je nie rzeka, a jezdnia; skarpa się rozeschła i sunie na jezdnia, a mury zabytków kruszeją. Jak spadły deszcze największe od stu lat, Wistok wrócił, nieczym odsunięty polityki, do swego koryta, a ponieważ pod miastem, zamiast koryta, zastał jezdnia z samochodami, popłynął jezdnia i samochodami.

Konsekwencja przyrody jest przytłaczająca — tonami wody. Przyroda nie zna pojęcia kompromisu. A człowiek — jak był, tak jest — głupi i ciemny, choć wykształcony pono i światły (halogenami w telewizji).

W Krośnie ludzie czytają nie mniej niż w Łomży, choć tygodnik „Podkarpacie” pisze raczej nie do czytania i ma się do „Kontaktów” tak, jak Krosno do Krakowa. Na wystawie — o dziwo, nie zatopionej — księgarni trafiłem książkę związaną z Łomżą, jak człowiek ze swym przeznaczeniem: tom esejów Marii Holstein-Beck „Konflikty”. Pierwsze zdanie brzmi: Książkę tę adresuję do miliona polskich kierowników, którzy dźwigają ciężar odpowiedzialności za zbudowanie w ciągu lat kilkunastu rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”. Adresata książki i przesłanie autorki — znamy. Przesłanie jest słusznie i pożyteczne. A po co wspominać o tej książce w felietonie, który ma czerpać inspirację z tekstów zamieszczanych w „Kontaktach”? Otóż z przykrością donoszę, że w kioskach na Podkarpaciu nie ma jeszcze „Kontaktów”. Natomiast felieton musi być, bo obiecałem. A także dlatego, że „Konflikty” pani Holstein-Beck jako żywo przypominają „Kontakty” pana Zagórskiego i pani Henczelowej. Nie znaczy to bynaj-

mniej, że pani Henczelowa ma z panem Zagórskim konflikty, ani że „Kontakty” tych państwa i RSW „Prasa—Książka—Ruch” w Białymstoku jadą tylko na konfliktach. „Konflikty” pani Holstein-Beck są podobne do „Kontaktów” dlatego, że grafik, Teresa Kawińska, zaprojektowała „Konflikty” tym samym krojem pisma, co Marek Goebel tytuł „Kontaktów”. Tytuł wygląda jakby go kto do prądu podłączył, czym tłumaczy powiązania z kontaktami.

Konflikty mają podobną strukturę; też się ludzie trzęsą, a w niektórych nawet piorun strzela. Słowem, wszystko się zgadza, jak w cytacie z Marksa o cenie rewolucji komunistycznej, w której „działalność człowieka powinna nabierać charakteru bardziej uniwersalnego, przewidywanego jednostronnością podziału na rządzących i rządzonych, przekraczających śrubki i zajmujących się tworzeniem wartości duchowych, czerstwych wieśni-

ków i oderwanych od natury mieszczuchów, ludzi żyjących tylko ruchem intelektualnym, wyizolowanych od sprawności ciała i ludzi wydatkujących swą energię fizyczną przy równoczesnym zubożeniu życia duchowego, ludzi korzystających z dobrodziejstw czasu wolnego i dobrodziejstw tych pozbawionych”.

Pani Holstein-Beck cytowała ten opatrzone następującym komentarzem: „przedstawiony przez Marksa model przystosowania może i powinien w całości być przez nas przyjęty nie tylko w teorii, lecz także w praktyce dnia codziennego”. No i jak pani doktor nie kochać za takie zdanie? Pani doktor pisze przecież z taką wiarą i przekonaniem, że nie pozostawia cienia wątpliwości jej zamysł, a intencje świecą polewanym kryształem prawdy z tak zwanego życia wziętej. Zupełnie jak w przykładzie nazwanym „modlitwą dziewczicy”; konflikt jest w nim wywołany „dążeniem do celu, który jest równocześnie atrakcyjny i niebezpieczny — wzbudza lęk, posiada wartość dodatnią i zarazem ujemną”. Na przykład panienka chce się przespać z chłopcem, ale nie bardzo wie, co się najpierw ściga — majtki czy stanik, i boi się, żeby nie pomylić majtek z parasolem. Pani doktor pisze: „Jest to więc sytuacja, którą żartobliwie nazywamy sytuacją dziewczicy, która i chciałaby, i boi się...”

Konflikt instynktu z rozsądkiem nieczym się nie różni od konfliktu wody z wałem na rzece Lubatówce w Krośnie, a idąc nurtem tej wody — od konfliktu słyszanych intencji władz miasta, które uspiły czujność ludzi w obawie przed „paniką”, z niesłusznymi pretensjami ludności.

Książka pani Holstein-Beck popłynęła do Morza Bałtyckiego z wszystkimi konfliktami, jakie autorka opisała, a tym samym złagodziła — przez ich nazwanie po imieniu. Tym bardziej polecam tę książkę milionowi polskich kierowników, choć nakład wynosi tylko dziesięć tysięcy, a dodruk nie będzie, bo za lat kilkanaście, jak przewiduje to sama autorka, książka straci aktualność: powstanie rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne, a kierowników zastąpią komputery.

TARGOWIAK

Rysunek ANDRZEJA PODULKI

remont

Czytając tygodnik „Kontakty” szczególną uwagę zwracamy na pozycję sportową. W numerze 5 tygodnika jest zamieszczony artykuł o problemach sportu w Grajewie, a w nim wzmianka dotycząca Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Łomży.

„I nie wiem, co miał na myśli autor tego artykułu. Informujemy, iż rozgrywki klasy okręgowej juniorów i seniorów w piłce nożnej dla zespołów woj. ciechanowskiego, ostrołęckiego i łomżyńskiego prowadzi OZPN w Łomży. Zgodnie z regulaminem rozgrywek obsada na mecze piłkarskie winna być z okręgów neutralnych. Dla zapewnienia neutralności zawodów sędziowie łomżyńscy również jeżdżą prowadzić spotkania do klubów województwa ciechanowskiego i ostrołęckiego. W związku z brakiem odpowiedniej ilości wyszkolonych arbitrow korzystamy przy ważniejszych spotkaniach z sędziów WS Warszawa. Dla przypomnienia informujemy, iż zawody klasy MW zespołu M-ŁKS Łomża z drużynami Agrokompleks Kętrzyn czy Sniardwy Orzysz prowadzili sędziowie z Lublina i Radomia. Niech „Wymiatacz” może napisać coś pod adresem PZPN o nośności typowania sędziów, bo on prowadzi ten szczebel rozgrywek. Rozgrywki zaś naszej łomżyńskiej B klasy oraz trampkarzy prowadzą wyłącznie sędziowie naszego okręgu. Myślmy, że autor tego artykułu bez skonsultowania się z OZPN Łomża wyrzucił krzywdę dla działaczy społecznych pracujących w Okręgu.

Reasumując powyższe, nieodparcie nasuwa się wniosek, że autor, nie znając obiektywnych realiów,

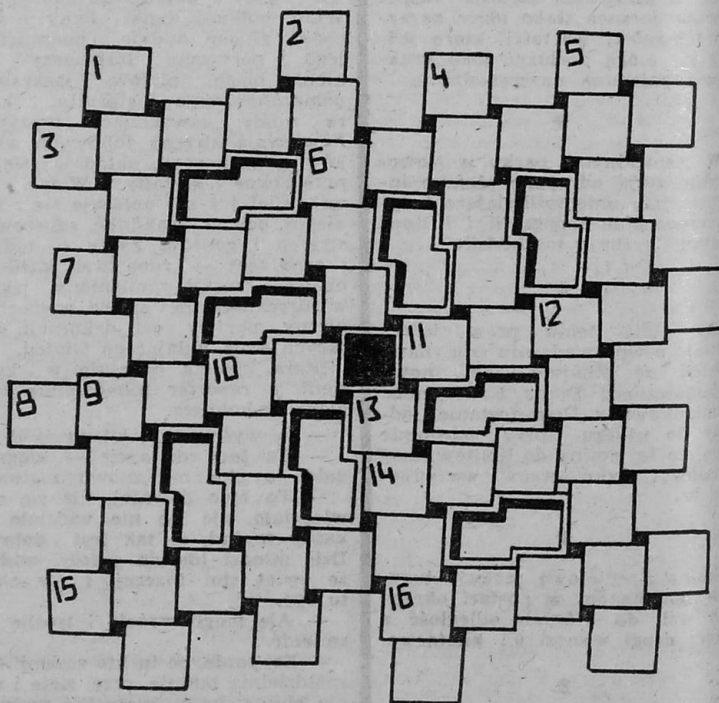
zacytowane fakty w artykule odnośnie OZPN przedstawił niezgodnie z rzeczywistością.

Kpt. mgr ALEKSY IWANIEC
prezes OZPN
Łomża

Nie miałem zamiaru nikogo obrazić, tym bardziej krzywdzić działaczy OZPN w Łomży. Przeciwnie mam dla nich dużo sympatii. Chciałoby dla domówienie się z działaczami województwa ostrołęckiego, ciechanowskiego oraz zorganizowanie rozgrywek klasy okręgowej dla tych województw, a w efekcie stworzenie możliwości podniesienia poziomu piłkarstwa w naszym województwie. Martwi mnie tylko fakt, że w swoim wyjaśnieniu działacze OZPN zastanawiają się regulaminem. Prawdą jest, że dyktuje on zasady postępowania, ale przecież sędziowie są osobami neutralnymi, obojętne skąd by nie pochodzili, bo takie są założenia względem instytucji arbitra! Regulamin sankcjonuje skutki, a wydaje mi się, że należy mówić o przyczynach.

Co się tyczy znajomości „obiektywnych realiów”, to są one takie, że grajewska „Warmia” (inne kluby w województwie — także) ledwie wiąże koniec z końcem i ciągle zalega w płaceniu należności innym instytucjom. Dlatego też tamtejsi działacze liczą się z każdym wydatkiem, i to właśnie oni sami zasygnalizowali mi fakt prowadzenia zawodów przez sędziów z Warszawy i Ciechanowa. Nie muszę udawadniać, że neutralnych arbitrow mogą zapewnić sąsiednie okręgi białostocki i suwalski.

WYMIATACZ



POZIOMO: 3) autor powieści „Martwe dusze”, komedii „Rewizor”, 6) jeden z dumasowskich muszkieterów, 7) znana powieść poetka George’a Byrona, 8) autor powieści „Matka”, 11) powieść o problematyce społecznej Jorge’a Amado, 14) „Krzyżówkowa” bohaterka Juliusza Słowackiego, 15) „Zborowski — tytułowy bohater dramatu Juliusza Słowackiego, 16) święta księga muzułmanów zawierająca 114 sur (rozdziałów).

PIONOWO: 1) twórca znanych komedii „Świętoszek”, „Mizantrop”, 2) postać z „Zemsty” Aleksandra Fredry, 4) najbardziej znana powieść Marksa Gorkiego, 5) miejsce akcji „Pana Tadeusza”, 9) autor powieści z życia wsi podgórskiej „Komornicy”, 10) „fatalista i jego pan” tytułowy bohater powieści Denisa Diderota, 12) „Wallenrod” tytułowy bohater poematu Adama Mickiewicza, 13) sfilmowana powieść Bolesława Prusa („HCL”).

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 6.09. br. pod adresem redakcji: 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10. Do rozlosowania nagrody książkowej.

Lk 3646-0

MINI-KABARET PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Pod nieobecność, delegowanego do piekielnej centrali, diabła makroregionalnego na biebrzańskich mokradłach pojawia się Obce Ciało.

NARWIAŃSKI: Kogo tu diabli niosą?

OBECE CIAŁO: Za pozwoleniem — Gabriel Maria Rajgrodzki, adiunkt magister d/s kultury na etacie stróża.

BIEBRZAŃSKI (pod nosem): Przeświadczenie, błąd czegoś, pierzem jedzie. Ciekawe, czego tu szuka obojniak ze sztucznymi skrzydłami?

Przez chwilę słysząc kulturalną ciszę tzn. klasyczny szum skrzydeł i awangardowe tarcie diabelskich racic. Kontakt nawiązuje się z trudem.

RAJGRODZKI: Przybywam bez trąby i bez ognistego miecza...

BUZAŃSKI (z ulgą): A już się bałem, że to działacz studencki z propozycją głębszego skonfrontowania się. Ale jak bez trąby — znaczy nie działacz.

RAJGRODZKI: Wasza KaSSA mnie nie interesuje, mam nadgodziny i dodatek za rozłakę.

NARWIAŃSKI: Rozmowy bilateralne zastrzegł sobie ob. Supraski, a zresztą jesteśmy po Święcie Kultury Staropolskiej, refektaryj przepiękne, więc w czym rzecz?

RAJGRODZKI: Chodzi o kulturę masową.

BIEBRZAŃSKI: Może Marycha waśnie kielicha?

RAJGRODZKI: Walę wyłącznie nektar i to pół na pół z niebieską manną.

BUZAŃSKI: (z zazdrością): Temu to dobrze — przydział na mannę dostaje. I jak się po tym lata?

NARWIAŃSKI: Przejdźmy do meritum (przechodzą).

RAJGRODZKI: Niebo jest zaniepokojone. Teles był na temat sielskiego Centrum Sztuki Światowej, a tymczasem w Biurze Wystaw Artystycznych ledwie się kierownik ze sprzątaczką na pół etatu mieszczą i jak wieszają obrazy, to któreś z nich wyjść musi, tak ciasno. Wojewódzki Dom Kultury wprowadził jeszcze stoi, ale coraz mniej przypomina dom, jeszcze mniej wojewódzki, a już najmniej kultury. Inaczej bywało, gdy dom należał do innego resortu...

NARWIAŃSKI: Przejściowe trudności obiektywnej natury, kolego Gabi...

RAJGRODZKI: Tylko nie kolego!

NARWIAŃSKI: (cokolwiek skosternowany): ... sprawiły chwilowe zamrożenie mocy. Wicie koleżanko...

RAJGRODZKI: Tylko nie koleżanko!

NARWIAŃSKI: (bardziej skosternowany): ... jak to jest z mocami — Niebo daleko, Piekło też nie blisko.

BIEBRZAŃSKI: A tu ciemno, a tu ślisko (mówiąc szłocho).

RAJGRODZKI: Właśnie — ślisko. Niebo pyta kto w Łomży zlokalizował Dom Środowisk Twórczych nad szaletem miejskim?

BUZAŃSKI: Dobrze, że nie pod, albo jeszcze bliżej.

NARWIAŃSKI: Zaistniała sytuacja skłania nas do podjęcia stosownych kroków we właściwym kierunku. Jednak otrzymane limity skłaniają nas do zaakceptowania optymalnych rozwiązań.

BIEBRZAŃSKI: Twórcom da się ekwiwalent — po flakonie „Przemysławki”.

BUZAŃSKI: Ale za to jaką mamy galerię jednej fotografii. Jedyna nasza!

NARWIAŃSKI: I jeszcze the ethnographic park of Novogród near Łomża, i jeszcze godzi się podkreślić, że nie jesteśmy białą plamą na mapie...

Rajgrodzki spod lewego skrzydła wyjmując pistolet na wodę święconą. Posiada. Diabły uciekają, nadlatuje Pszczółka Maja.

PSZCZÓŁKA MAJA: Guciu, gdzie jesteś?

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Fot. Włodzimierz Ciesłowski

BESTIARIUSZ KIESZONKOWY

wg HEINZA MODEGO

AL-BURAK — srebrny rumak archaniola Gabriela, na którym Mahomet odbył nocą drogę z Mekki do Jerozolimy tak szybko, że zdążył za powrotem schwycić przewracający się dzban wody, potracony przy wyjeździe.

AMORKI — dzieci Amora i nimf, skrzydlate bóstwa miłości.

ANIOŁY — pośrednicy Nieba, na ogół opiekuńczy, choć bywają gniewni. Rodzaj pozornie najłodszy — anielica; pozornie najniższy upadły — diabeł.



Archaniół Gabriel jako władca firmamentu. Palech koło Władymira, ok. 1780. Fot. Włodzimierz Ciesłowski.

IM BLIŻEJ ZIEMI - TRACIŁ BLASK SWÓJ NIEBIAŃSKI

Latawiec, gdy wypatrzył sobie najpiękniejszą niewiastę czy dziewczynę wiejską zrywał ogniwo złote, którym był przykuty do nieba, i rzucał się z obłoków. W tym przełomie świecił jak świetlna gwiazda, ale im bliżej ziemi, tracił blask swój niebiański, odpadały mu skrzydła, a przybierał postać najdrobniejszego młodzieńca.

Zadna kobieta nie była w stanie oprzeć się potęgze jego spojrzenia,

a dotknięcie ręki latawca zmieniało ją prawie w kamień. Wlepiła w niego oczy z nieopisaną rozkoszą, serce jej uderzało nie znanym nigdy uczuciem, pragnęła jego pieśczęty a omdlewała w uściskach Latawca.

Od pierwszej chwili poznania go, jakby nie należała do ziemi, zrywała wszelkie stosunki rodzinne. Nic ją w domu nie zajmowało, uciekała od zabaw, tańca i muzyki, a biegła

w to miejsce, gdzie pierwszy raz Latawca ujrzała.

Bywały wypadki, że Latawiec, który tylko w nocy nawiedzał swoją bogdanę, zbyt długo z nią bawił i doczekał na ziemi wschodu słońca, tracił i warkocz złocisty, i białe świecące skrzydła, a po siedmiu dniach i trzech godzinach umierał jak prosty człowiek.

(z kłechd spisanych przez Kazimierza Władysława Wójcickiego)

Rysunek Jacka Urbańskiego



KS. BENEDYKT CHMIEŁOWSKI

Co czynić, aby iaie latało po powietrzu?

Weź iaie świeże w Maiu, przebij igłą lub sztydelkiem w obóh końcach, wydmij z niego wszystko, dopiero do próżnego należy prawdziwej samej rosy, przed Wschodem słońca zbieranej, y to w Maiu, bo innych czasów nie iest tak czysta y sprawiedliwa rosa, y to nie po deszczu. Naławoszy pełną skorupkę iaia, woskiem ciepłym dobrze zatkaj obie w końcach iaia dziury, wystaw iaia na gorące słońce, tedy go gorącym swoim do góry pociągnie na powietrze. Ale to w tych krajach się praktykuje, gdzie słońce bardzo operuje; w tych krajach Polskich ia tego próbowałem bez skutku.

POKUSY

Andrzej Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY

KONTAKT
7.IX.80
Cena 4 z